

POLAK

W BRAZYLJI

Pismo tygodniowe — dla wszystkich —

7 Sierpnia 1908 r.

REDAKTOR I WYDAWCA KAZIMIERZ WARCHAŁOWSKI.

Rok IV Nr. 32

POLAK W BRAZYLJI

kosztuje:

Rocznie.	8 milr.
Półrocznie	4 milr.
W Królestwie Polskim i Rosji	7 rubli
W Niemczech	14 marek
W Austrii	16 koron
W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej	3 dolary.

Numer pojedynczy kosztuje 200 rs.
Drobne ogłoszenia po 200 rs. za wiersz lub jego miejsce.

Adres dla listów i przesyłek pieniężnych:

„POLAK W BRAZYLJI“

Caixa postal Nr. 122

CURITYBA — PARANA — BRAZIL.

UWAGA. — Przesyłki pieniężne i wszelką korespondencję do Redakcji należy adresować, jak podano wyżej. — BEZ DODAWANIA JAKIEGOKOLWIEK NAZWISKA, gdyż adresowanie imienne spowodzić może niepożądane opóźnienia w odbiorze listów. —

PRENUMERATE „POLAKA W BRAZYLJI“ przyjmują na warunkach redakcyjnych p. p.:
Bolesław Kłosowski — Ponta Grossa.
Wojciech Troczyński — S. Matheus.
Antoni Jakubowski — Agua Branca.
Józef Dytz — Ijuhy.
Paweł Tymoteusz Wielewski — Lucena.
Paweł Miecznikowski — Rio Claro.
Józef Brudziński — Rio dos Patos.
Jan Zwierzykowski — Sw. Barbara.
Wincenty Hamerski — Guarany.
Władysław Szulczewski — S. Feliciano.
Antoni Kurkiewicz — Rio Negro.
Edward Stelczyk — Porto Alegre.

Redakcja mieści się

przy placu TIRADENTES Nr. 31

TELEFON N. 167

Redakcja otwarta codziennie od 8 rano do zmroku z wyjątkiem niedzieli.

Falszywi prorocy.

Z postępem czasów idzie w parze postęp ludzkości. Cywilizacja ogarnia coraz więcej ludów, sięga nawet nieprzebranych puszcz i wyciskając wszędzie swoje piętno, pobudza pragnienie oświaty, tworząc coraz liczniejsze zastępy uświadomionych. Czasy barbarzyństwa i ciemnoty, w których człowiekowi do życia duchowego wystarczyło jedno ślepa wiara i garść przysłów, bezpowrotnie minęły. Miejsce dawnych ludzi, białych niewolników, wysyskiwanych przez kler i szlachtę, składających wszystkie swoje potrzeby na łaskę Opatrzności, wierzących w nadprzyrodzone dla nich rzeczy, jedynie dlatego, że ich pojąć nie mogli i potrzebujących do swej wiary koniecznie dogmatów, zajmuje coraz bardziej człowiek dzisiejszy. Bada on i patrzy na wszystko okiem krytycznym i przestaje być maszyną nakręcaną przez tych, którzy przed niedawnymi jeszcze czasami prawem kaduka rościli sobie władzę nad jego duszą.

Oświata daje nam poznanie własnej mocy i pozwala odróżnić przyjaciół od fałszywych proroków, starających się usilnie zakuć ducha jego w niewolę. I o ile oświata niesie ludowi pokrzepienie ducha, otwiera ciemnym oczy i wskazuje drogę wyzwolenia, o tyle ci „falszywi prorocy“, nawołujący jeno do pokory, dają mu zwątpienie i śmierć duchową.

A tymi fałszywymi prorokami jest niestety kler dzisiejszy. Wnawiając lud, że od Boga nadana mu jest nad nim władza, pętając ten lud rozmaitymi przykazaniami przeinaczającymi nie raz religję Chrystusową, stara się usilnie, aby pozostawał w ciemnocie, gdyż łatwiej mu wówczas będzie tego ludu używać za narzędzie i utrzymać nad nim swoje zgubne wpływy. Do tych celów używa najpiękniejszej na świecie religii, która zasadzała się na jedynym głównym przykazaniu: „Miłuj bliźniego swego, jak siebie samego“.

A co duchowieństwo zrobiło z tej

cudnej naszej religii, opartej na prawie Miłości??...

Zamiast odpowiedzi, dam następującą przypowieść.

— „Do kościoła namalował pewien wielki artysta malarz piękny obraz Matki Boskiej Bolesnej, przedstawiającej ją w całej postaci. Ludzie schodzili się i podziwiali jego arcydzieło. Lecz ci którzy obrazem owym opiekować się mieli, nazwieszali na nim różne wota, jako to srebrne lub posrebrzane nogi, ręce, serca i t. p. Gdy wotów tych coraz więcej przyczepiano, zakryto nimi cały obraz, tworząc z arcydzieła dziwadło jakieś, z poza którego wyglądało tylko zasmucone oblicze Matki Bolesnej... jakby wołające.

„Cóżście ze mną uczynili“

Tak samo i z religią. Chrystus pozostawił ją, jako najpiękniejszą duchową pociechę dla ludzkości, duchowieństwo opętało ją różnymi przykazaniami i paragrafami, pod którymi piękno jej i czystość znikły.

Zamiast być gwiazdą przewodnią, wiodącą lud do oświaty, stara się duchowieństwo wszelkimi sposobami oświatę tę stłumić. Z kazalnicy, z kąd powinny płynąć słowa otuchy i miłości uderzają jak gromy przekleństwa i groźby pod adresem wszelkiego postępu, wszelkiej wolnej myśli. I biedny, łamany lud, wierzący w swej naiwności że ksiądz to posłannik Boży, nie jako jego zastępca, bije się w piersi i drżąc na myśl strasznych kar piekielnych, wybiera sobie Boga, jako straszliwego, nieubłaganego sędziego.

Biedny polski Ludu!... Spójrzj wokół siebie, na cudną przyrodę co cię otacza. Siegnij wzrokiem jasnego błękitu przypatrz się wszystkim pięknościom tego świata i pomyśl, czy mógłby Bóg, który dla ciebie chował w zanadrzu najokropniejsze kary i męki, dać ci taki piękny świat! Nie... Zaprawdę nie... bo Bóg twój, ludu, jest Bogiem miłości i przebaczenia, jest twoim ojcem do brotliwym, który nawet dla marnotrawnego syna ma przebaczenie i miłosierdzie.

Księża ci głoszą, że władza nad tobą od Boga im nadana.

Przypatrzmy się teraz krótkiej historii duchowieństwa, przypatrzmy się jego czynom, a będziemy mogli należycie osądzić, czy Bóg ustanowił odrębny stan duchowieństwa i czy czyny jego odpowiadają nauce religii Bożej.

W dawnych bardzo czasach, gdy apostołowie rozeszli się po świecie, aby naukę Chrystusową rozpowszechniać pomiędzy pogaństwem, tworzone w każdym mieście, gdzie zebrała się pewna liczba chrześcijan, odrębna gmina religijna. Duchowieństwa wówczas wcale nie było i wierni z pomiędzy siebie wybierali jednego z braci gminnych dla wykonywania aktów religijnych i kierowania służbą Bożą. Takie wybieralne urzędy nie były wcale płatne i nie dawały wybranym jednostkom nad innymi chrześcijanami władzy.

Dopiero gdy liczba chrześcijan zwiększyła się i zawiadywanie sprawami kościelnymi stało się zajęciem wymagającym wiele czasu i zupełnego oddania się, poczęto obierać płatnych członków gminy na stałe urzędy kościelne. W ten sposób w łonie każdej gminy chrześcijańskiej powstała zupełnie nowa kasta urzędników kościelnych — duchowieństwo.

Duchowieństwo wzięło odrazu ster spraw kościelnych w swoje ręce i wyodrębniając się od reszty wiernych stanęli na ich czele w IV. w. t. j. mniej więcej 1500 lat temu zaczęli się duchowni od pojedynczych gmin zjeżdżać na wspólne zgromadzenia czyli t. z. sobory na których przewodzili biskupi gmin najsilniejszych i najbogatszych, a ponieważ ze wszystkich najbogatszą i największą była gmina rzymska, więc wkrótce biskup rzymski stanął na czele całego duchowieństwa i chrześcijaństwa.

Od tej pory, aż do naszych czasów, duchowieństwo coraz bardziej wywyższało się i oddzielało od zwykłego ludu, a ponieważ w tych czasach panował ogromny fanatyzm religijny i ciemnota, więc duchowieństwo, które przy-

W niewoli u słoni.

Zapewne znacie słonia. Jeśli nie widzieliście go żywego w menażerjach, albo w cyrku, to zapewne poznaliście go zwierzę na obrazku. Słoń jest olbrzymiej wielkości, ciężki, niezgrabny, wsparty na krótkich nogach, a raczej na pniach grubych, zakończonych palcami, wsuniętymi w kopyta. Jego łeb wielki, z ciemnym wypukłym, na krótkiej osadzonej szyi, z małymi bystrzymi oczkami i płackciatymi uszami, dzwiga długą do ziemi sięgającą trąbę, z boków paszczy wysuwają się dwa długie, ciężkie, nieco do góry zakręcone zęby. Skórę ma grubą, szarą, z plamami jaśniejszymi nieco, pociętą szersznią czarną i ostrą.

Mieszka w Azji i Afryce. Wysokość jego dosięga dziewięciu stóp, długość trąby ośmiu stóp. Słoń średniej wielkości waży pięć tysięcy kilogr. Znano go już z czasów starożytnych i poszukiwano głównie z powodu dwóch wielkich zębów, które służą do wyrobu rozmaitych zbytkownych przedmiotów. W starożytności używano słoni także podczas wojny.

Słonie przebywają w lasach lub okolicach górzystych, trzymają się w bliskości wody, w dzień szukają miejsc cienistych, w nocy wychodzą na przechadzkę. Przed człowiekiem uciekają, nie zaczepiają go same, ale w razie zaczepki bronią się do upadłego. Napotkawszy w czasie przechadzki miejscowość piaszczystą, wchodzi na ziemi i tarzają się, co im wielką przyjemność sprawia. Mimo swego cięż-

kiego pozoru są bardzo zgrabne, a w razie potrzeby biegają tak szybko, że je ledwie na koniu dopędzić można. Nadzwyczaj lubią wodę i kąpiel, pływają doskonale. W tęgą posiadają wielką siłę i zręczność nadzwyczajną, wykonywują nią zadziwiające ruchy; zaczepiwszy ją o drzewo, łamią je, albo wyrwywają z korzeniami, a za pomocą palca, umieszczonego przy jej końcu, podnoszą z ziemi najdrobniejsze przedmioty, nawet skrawki papieru. W potrzebie odwróci trąbę używając zębów zgiętych; bronią się nimi, usuwają przeszkody, podnoszą ciężary, kopią ziemię. Są niesłychanie zmyślne, a tak ostrożne, że najłżejszy szmer zwraca ich uwagę. Pod względem zmysłowości nie ustępują psu.

Żyją stadami; liczba sztuk w stadzie bywa rozmaita od 15 do 20 i więcej. Stado nie przyjmuje obcych słoni. Jeśli się który odłączy, lub jeśli coś zbroi, wypędzają go, i musi biedak pędzić życie pustelnicze. Gdy chce wrócić, biją go trąbami i zmuszają do oddalenia się.

Słonie samotniki pędzą życie smutne i z rozpaczą stają się okrutnymi, niszczą wszystko, co napotkają na drodze.

Słoń w niewoli łatwo się oswaja i przywiązuje do człowieka; ponieważ jest zadziwiająco pojętny, łatwo go nauczyć rozmaitych robót, sztuk i figlów.

W menażerjach (zwierzęcych) słonie bawią widzów, grając na katarzynie, jeżdżąc na wielocypedzie, tancując i t. p. Indusi i kolarze europejscy posługują się nimi, jak robotnikami. Przewodnik słonia, zwany korna-

kiem przyprowadza przyuczonego do roboty do lasu i każe mu przewozić, lub układać w stosy drzewo, następnie odchodzi, a mądre zwierzę jaknajdokładniej wykonywa robotę. Słonie używane do jazdy wierzchem, przebywają z łatwością najbardziej trudne ścieżyny, rozsuwają splecione gałęzie drzew, omijają skały i kamienie.

W świętych księgach Hindusów opisany jest słoń zwany Czarnym Dżamentem, który należał do pewnego księcia hinduskiego. Nieprzyjaciele owego księcia zwyciężyli go, pozabawili tronu i wtrocili do więzienia. Słoń, który mu towarzyszył do bramy więzienia, zachowywał się spokojnie w czasie całego pochodu; ale w nocy zadusił straż, czuwającą nad więzionym, wyłamał bramy i uprowadził swojego pana, który, dzięki słoniowi, odzyskał nie tylko swobodę, ale i tron utracony napowrót objął.

Pewna kobieta, odchodząc na robotę, powierzyła swe dziecko słoniowi, który pilnie czuwał nad małym dzieckiem. Zabawie było patrzeć, jak troskliwie i delikatnie ta olbrzymia nianka opiekowała się dzieckiem podczas nieobecności matki. Dziecko, jak to zwykle bywa, było bardzo ruchliwe i ani chwilę nie siedziało na miejscu, ale widać było, że się do małego małego zaplatało między nogi słonia, albo między gałęzie drzew. Wtedy słoń z największą ostrożnością pomagał mu do wydobycia się z niewygodnego położenia, podnosił go trąbą do góry, albo usuwał przeszkody. Jeżeli czasem dziecko za daleko odeszło, słoń kłócił czasami dziecko za daleko odeszło, słoń kłócił

przyciągał je delikatnie trąbą. Słowem — była z niego najlepsza nianka.

Widzimy tedy, że jest to zwierzę bardzo pożyteczne, z tego powodu ludzie ubiegają się o nie. Ale niedosć że zaprzęgają je do pracy lub każą być za awka, w dodatku tępią je jeszcze tak zapamiętale, z taką chciwością, że jeżeli to dłużej potrwa, słonie wyginą zupełnie. Polują nań dla zębów, gdyż kość słoniowa, jest bardzo poszukiwana i droga, ceniona. Tysiące myśliwych ugania się za słoniami po piaszczach Azji i Afryki, nie bacząc na niebezpieczeństwo.

Słonie bronią się, jak mogą, lecz wobec człowieka okazują się zwykle bezsilnymi. Zdają się jednak wypadki, że dają sobie radę, a myśliwym dają doskonałą odprawę i nauczkę. Taka właśnie przygoda spotkała pewnego angiela, Harissona. Człowiek ten przed kilkudziesięciu laty postanowił wzbogacić się i w tym celu zwerbował stu wyciecznych strzelców, udał się do Afryki po zęby słoniowe.

Wyprawą sam dowodził, a że był to człowiek z głową nieładną, doświadczony i przeżorny, więc mu ufano i słuchano. Ale Harisson obok odwagi, przezorności, doświadczenia i innych zalet, posiadał wadę: był — ogromnie chciwym na pieniądze, i ta właśnie brzydka wada stała się przyczyną jego długich cierpień!

Przybywszy do Afryki na okręcie parowym zapuścił się ze swoim oddziałem w dzikie, nieprzebyte puszczę, graniczącą z jeziorami i Mi-

tym dzierżyło władzę w swych rękach, mogło czynić, co mu się podobało.

Przyjrzyjmy się teraz jego czynom, a zobaczymy, czy zgadzają się z zasadami wiary Chrystusowej.

Pieniądze jak dzisiaj, tak i w owych wiekach były koniecznym warunkiem do utrzymania władzy. Duchowieństwo musiało więc zdobyć je. Ale jakim sposobem?...

Oto w dawnych gminach chrześcijańskich, był zwyczaj, że bogatsi wierni składali dobrowolne datki na ubogich chrześcijan. Ofiarność w owych czasach większą była niż dzisiaj, więc nabiednych zbierano nie małe sumy. Duchowieństwo postanowiło z pieniędzy tych jak najwięcej korzystać, to też rok rocznie dzieliło je na 4 równe części. Jedną część szła dla samego biskupa, druga na niższe duchowieństwo, trzecia na utrzymywanie kościołów, a dopiero czwarta na ubogich.

A zatem ubodzy jednej gminy, pobierali tyle, ile jeden biskup. Później nawet i tego ubogim nie wydzielano, dając im tylko od czasu do czasu skromne jałmużny. A przecież Chrystus nakazał ubogich wspierać — duchowieństwo zaś zaraz w samym początku swego istnienia, poprostu ubogich okradalo i na nich dorabiało się majątków.

Lecz tego wszystkiego było mu jeszcze za mało. Przeto w VI wieku nałożyło duchowieństwo na wiernych specjalny podatek t. zw. dziesięcinę, t. j. dziesiąta sztuka bydła, dziesiąty snop, dziesiąta miara kartofli i t. p. szła na dwory księży i biskupów.

Podatek ten spadł na barki biednego ludu, jako straszny ciężar, lecz przyczynił się za to do zubożenia duchowieństwa.

A gdy do dziesięciny dochodziły jeszcze od czasu do czasu hojne ofiary wielkich panów, majątki duchowieństwa powiększyły się w ogromny sposób. Aby te prawdziwe skarby nie rozdrabniały się, t. j. aby księża nie mogli przekazywać majątków potomstwu, ustanowiono jeszcze w XI w. celibat, czyli bezżeństwo, które jednak z powodu oporu księży dopiero w XIII w. weszło w użycie.

Tak rosły kolosalne fortuny duchowieństwa, aż doszło w końcu do tego, że np. we Francji w XVIII w. duchowieństwo posiadało majątki przynoszące rocznie około 100 milionów franków, czyli 50 milionów milów.

Wyobraźmy sobie teraz, ileby to dobrego można zrobić za te b. jońskie sumy... Ileby to mogło powstać szkół... szpitali... Ile tysięcy biednych można by wspierać na całym świecie za to co miało i używało samo duchowieństwo we Francji.

A dzisiaj czyż jest lepiej?... W samej Austrii posiada duchowieństwo przeszło

850 milionów koron, t. j. około 500 milionów milów... Głowa kościoła, papież, ma 12 milionów hrów rocznego dochodu.

I jak to pogodzić z religią Chrystusa, który powiedział: „Zaprawdę, zaprawdę powiadam Wam, łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niżli bogaczowi wniknąć do Królestwa Bożego.”

Takie gromadzenie olbrzymich skarbów krwawicą biednego ludu, nieraz wywoływało u tego ludu niechęć, a nawet wprost odszczepieństwo od kościoła.

Wśród ogólnej ciemnoty, jaka w wiekach średnich panowała między ludem, nie potrafił on odróżnić, że religia a duchowieństwo to dwie odrębne rzeczy, lecz widząc ohydne postępowanie księży, dawał posłuch różnym innowacjom i nieraz rad byłby wrócić do dawnych pogańskich czasów. Ponieważ objawy odszczepieństwa tu i ówdzie widzieć się dały, więc duchowni postanowili zapobiedz temu. Lecz jak!!

Takich księży, którzyby ludowi przykładem świecić mogli, było bardzo mało. Ogół był zepsuty bogactwami i żądny tylko władzy. Postanowiło więc duchowieństwo wbrew przykazaniom Chrystusowym o miłosierdziu zdławić odszczepieństwo ogniem i mieczem.

Ustanowiło więc t. zw. św. Inkwizycję, która miała być karą dla odszczepieńców.

Po całym świecie zaczęły się dokonywać mordy popełniane przez księży zakonników i ich słuzalców na ludziach posądzanych o heretyzm. Łada podejrzanie wystarczało, aby całe rodziny oddawać w ręce katów na najstraszniejsze męczarnie. Najbardziej szalała inkwizycja w Hiszpanii, Hollandji i Francji. Zakonnicy na czele hord opryszków przebiegali te kraje, siejąc wszędzie mord i pożogę. Całe wsie, całe miasta palono lub burzono, męcząc mieszkańców w najokropniejszy sposób, zaskakując skazanym na śmierć języki w żelazne pierścienie dla stłumienia krzyków bólesci. Ile ludności niewinnej zginęło pod ręką księży i zakonników, lub z ich rozkazu dostali się na stos lub żywceci byli spaleni — trudno obliczyć. Dość tylko, że np. w Hollandji, gdzie największych bezprawia dopuszczał się zakon, św. Dominika, zburzono doszczętnie miasto Mous, wycinając lub paląc żywcem wszystkich mieszkańców bez różnicy płci lub wieku. Taki sam los spotkał miasto Malines i jego mieszkańców. Duchowieństwo wymyślało coraz to nowe okropniejsze tortury, tak że przeszło nawet pogon, męczących w dawnych wiekach chrześcijan. Gdy zabrakło drzewa na stosy i szubienice, topiono dzieci, kobiety i mężczyzn, rzucając powiązanych skazańców parami do rzeki Zutphen.

Długi czas trwała inkwizycja, długi czas duchowieństwo narzało się we krwi ludu, aż w końcu przeraziło się samo swego dzieła, przeraziło się przełanego morza krwi. W końcu pomęczyły się i ręce katów, a nawet byłoby brakło ofiar dalszych, więc powoli rozkazy kościelne zaczęły powstrzymywać zakony i księży, uznając, że dosyć już przestraszony i sterroryzowany jest lud, aby go nęgać do uległości...

Straszną i niezmazaną plamą na duchowieństwie jest inkwizycja... Zamiast ze słowem miłości i nauki podejść do błądzących, byli posłannikami śmierci, zniszczenia i mordów, wołających o pomstę.

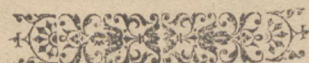
W czasach pogaństwa chrześcijanie doznawali od pogan prześladowań i męczeń, w czasach inkwizycji rolę pogan przyjęło na siebie duchowieństwo z tą różnicą, że o ile tamci działali w złą wiarę, oślepieni ciemnotą, o tyle duchowieństwo chrześcijańskie oświecone, mordowało jedynie po to, by władza, którą nad ludem zdobyli, nie wymknęła się z ich rąk...

To działo się w wiekach średnich. A co się dzisiaj dzieje, pokazał nie dalek jak pięć lat temu głośny proces przeciwko klasztorowi „Dobrego Pasterza” we Francji, gdzie kilkoletnie dzieci przymuszano do ciężkiej pracy przy najgłodniejszej strawie, męcząc ich przytłum i trzymając w surowym więzieniu. A przecież Chrystus Pan tak nakazywał miłować maluczkich.

A czyż dzisiaj mało znajdziemy takich księży, którzy ostatnie grosze wydzierają biednemu ludowi, za śluby, chrzty, pogrzeby... którzy biedakom każdą drogę płacili za udzielane im pociechy religijne. Gdy lud jest w ciemności, wówczas najskłonniejszym jest do pijaństwa i zbrodni. A czyż księża, przeskadzający wszelkimi sposobami tym, którzy lud ten wydzignąć chcą z nędzy i ciemnoty, nie stają się przez to samo odpowiedzialni za szerzące się zbrodnie i pijaństwo. Tu nie wystarczy rzucać gromy z kazalnicy na zbrodnie, tu nie wystarczy namawiać do ślubowania wstrzemięźliwości, lecz trzeba lud ten nawoływać do oświaty... trzeba uczynić, aby on okiem nauki spojrzał na świat i życie.

Jednak lud oświecony nie nadawałby się na przedmiot do wyzysku, a na tym straciłoby proboszczowie, biskupi i arcybiskupi, nowocześni fałszywi prorocy. W przeciwstawieniu do ich dążeń powinniśmy sobie wziąć za hasło „oświaty! jak najwięcej oświaty dla ludu”, bo oświata stanie się jego wyzwoleniem i wywyższeniem.

W. K.



Z całej Polski.

WARSZAWA. Sąd wojenny skazał 17 letniego Konieczniaka i 16-letniego Hipala za zamach na pewnego fabrykanta, któremu bomba, przez nich rzucona, strzaskala nogę; pierwszego na 8 lat ciężkich robót, drugiego na 3 lata więzienia.

Za należenie do partii soc. dem. skazał sąd wojenny 6 mieszkańców gub. lubelskiej na kary od 3 do 10 lat.

Rota żołnierzy z policją otoczyła dwa domy na Nowolipkach oraz jeden przy ul. Dzikiej. Dokonano rewizji nie tylko mieszkań, lecz i strychów i piwnic.

Po kilkugodzinnych poszukiwaniach policja opuściła domy, bez żadnego rezultatu. Podobno miano odkryć podkop, prowadzący do koszar pułku wołyńskiego.

STOSUNKI Z FRANCJĄ. Stowarzyszenie kupców polskich, wskutek zawiadomienia o przyjeździe do Warszawy delegatów handlowych z Francji z p. Musetem, prezesem generalnego syndykatu dla przemysłu i handlu urządziło zebranie interesowanych kupców i przemysłowców.

AGENCI DALMACCY. Bawią w Warszawie agenci firm dalmackich, przybyli dla zawiązania z kupcami tutejszymi stosunków handlowych. Przyjazd Dalmatów nie przypadnie z korzyścią dla firm hamburskich, które dotychczas prawie wyłącznie pośredniczyły w handlu owocami i konserwami, a także towarami kolonialnymi.

BOMBA. Wieczorem, w sieni drugiego piętra w domu Nr. 57, na ulicy Gęsiej, przed drzwiami mieszkania utrzymującego skład maki Menasza Krone, nastąpił wybuch, niewiadomo przez kogo podłożonej bomby. Siła wybuchu wyrwała drzwi, prowadzące do mieszkania Kronego, oraz w sąsiednim mieszkaniu zajmowanym przez Moszka Finkla, w wielu miejscach klatki schodowej odleciał tynk i wypadło 67 szyb z okien. W ścianach sieni uwięziono kilkanaście kawałków pękniętej bomby. Wypadku z ludźmi nie było.

ZABÓJSTWO W POCIĄGU. Jak donosi „Kurjer Warszawski” wieczorem w pociągu kolei herbskiej pomiędzy Rakowem a Częstochową około szpagaciarni pięciu nieznanych ludzi strzałami z rewolwerów, wymierzonymi w głowę, zabiło słuchacza trzeciego kursu szkoły technicznej Wawelberga i Rotwanda, Henryka Elbertowskiego, lat 25 liczącego, jadącego do Częstochowy z bratem i krewnymi. W przepełnionym wagonie powstała panika i wyskakiwano w biegu nim pociąg zatrzymano. W pobliżu kolei ujęto podejrzanego o to zabójstwo człowieka.

ŁÓDŹ. Do przejeżdżającego pociągiem dyrektora fabryki Steigerta podbiegło 3 uzbrojonych ludzi, zrabowało 1000 rubli gotówki, poczem poleciwszy mu wysiąść z pociągu, kazali się zawiesić do lasu Szajbierowskiego. Lasek niebawem otoczyła policja i wojsko i przeszkala go całkowicie, oraz aresztowała kilkanaście osób. Sprawców zamachu jednak nie schwytano.

POŻAR W BORYSLAWIU. W Boryslawiu skutkiem uderzenia piorunu wybuchł pożar w największym szybie, należącym do Oil Company, który produkował dziennie 80 wagonów nafty, oraz w szybie „Polonia”, produkującym 700 cystern ropy. Morze ognia ogarnęło przestrzeń trzech morgów. Ratunek z powodu strasznego gorąca, był niemożliwy.

Spaliło się sześć szybów. Zagrożone były szyby Towarzystwa karpackiego i sąsiednie. Spaliły się także domy we wsi Tustanowice.

Zachodziła obawa, by pożar nie rozszerzył się na kilkadziesiąt wsi sąsiednich, gdyż stru-

ny cukrowej, którą bardzo lubią słonie, spodziewał się przeto spotkać je tam w znacznej liczbie.

Nie omylił się: w owych okolicach było mnóstwo słoni. Polowanie szło wybornie. Już zebrano wielki ładunek zębów słoniowych, lecz nienasycony Harisson pożałował jeszcze więcej. Wdarł się w głąb nieprzebranych lasów, gdzie gałęzie drzew, splecione z sobą tworzyły sklepienie na znacznej wysokości, jakby umyślnie utworzone, aby stanowić przejście dla olbrzymich stworzeń.

Długo myśliwi nie mogli odnaleźć śladów słoni, wreszcie na polance otoczonej gęszczeniem spostrzegli trzech.

— To z pewnością przednia straż, olbrzymiego stada — rzekł Harisson — dalej, śmiało towarzysze, mamy przed sobą nieprzebraną ilość zębów słoniowych.

Słonie, stojące dotychczas spokojnie, stały się niebezpieczne, bo wydawszy okrzyk głuchy, przeciągli, zaczęły uciekać.

Myśliwi ruszyli w pogon i po chwili znaleźli się wśród okolicy skałistej, pełnej kamiennych wyłomów i wąwozów. Po wejściu do jednego z takich wąwozów, słonie zatrzymały się. Harisson sądził, że wąwóz niema wyjścia i że w nim ukryło się olbrzymie stado słoni. Środze się omylił: wąwóz posiadał wyjście, które prowadziło się z łańcuchem wielkich gór.

— Wyłuczemy je co do nogi, — rzekł do towarzyszy. — Zaczniemy od przedniej straży, a

następnie wdarłszy się na skale, zaatakujemy całe stado.

Rozległy się strzały, a echo puszczy powtarzało to nieskończoności. Na odgłos tu nieznany, odezwały się dzikie wrzaski i wycie zwierząt, krzyki spłoszonego płaćwa, a wśród tego przerażającego chóru, wyróżniał się porok słoni, oburzonych za tak śmiałą napadę. Głosy owe wstrząsały powietrzem, a były tak groźne że myśliwi dreszcz w żyłach uczuli. Najodważniejsi stracili przytomność i nie śmie- li nabieć broni.

— Ognia! ognia! — zawołał Harisson, lecz towarzysze jego, spostrzegłszy sześć słoni, biegnących ku nim pędem, rozpierzchli się, pozostawiając dowódcę na łascie losu. Olbrzymi nie zwracając uwagi na uciekających, otoczyli Harissona. Jeden z nich raniony był w ucho, a podobno słonie rozpoznają zawsze rękę, która je raniła. Tym razem winowajcą był Harisson; strzały jego towarzyszy nie wyrzuciły słoniom żadnej krzywdy.

Zraniony olbrzym zbliżył się poważnie do Harissona, który widząc że ucieczka jest niemożliwą, padł na kolana i złożył ręce błagalnie. Słoń zatrzymał się tuż przy wylęknionym myśliwym, namyślał się chwilę, następnie podniósł go ostrożnie trąbą i posadziwszy sobie na karku, poszedł w kierunku wąwozu. Inne słonie postępowały za nim.

Harisson, drżąc ze strachu, odmawiał modlitwy, będąc przekonany, że nadeszła jego ostatnia godzina. Słoń tymczasem, przeszedłszy przez wąwóz, wkroczył do gęstego lasu, w którym krzyżowało się mnóstwo dróg, wy-

deptanych potężnymi nogami słoni. Przeszczona to było miejscowość, stopa ludzka nigdy tu nie powstała. Niebotyczne drzewa łączyły się z sobą w ten sposób, że tworzyły cieniste, nieprzeniknione dla promieni słońca sklepienie, w pośród którego rozlegał się śpiew różnobarwnego płaćwa i szmery strumieni, które tu gdzieś gdzieś rozlewały się w jeziora. Na pnich drzew i na ziemi kwitły najróżnorodniejsze gatunki kwiatów nieznanych, a ich barwy jaskrawe zdawały się mienić za każdym podmuchem wietrzyka, który nimi delikatnie kołysał.

Blady, przerażony śmiertelnie, Harisson nie widział tych cudów przyrody, trząsł się ze strachu, słowa modlitwy płaćwały mu się, był prawie nieprzytomny.

Wkrótce zraniony słoń zatrzymał się w pośrodku wielkiej niby sali, utworzonej z zieleności, gdzie spoczywało mnóstwo słoni. Starsze przypatrywały się igrającej młodzieży, a poważni ojcowie zrywali owoce z drzewa chlebowego lub składali do składowi żywności stopy trzciny cukrowej.

Panowała tu doskonała zgoda, każdy spełniał swój obowiązek i wiedział, co powinien robić.

Raniony słoń, którego stado powitało oznakami radości, złożył ostrożnie jeńca na murawę. Jego towarzysze nawet uwagi nie zwrócili na takiego karku. Harisson postanowił skorzystać z takiego lekceważenia i umknąć, gdy nagle spostrzegł z przerażeniem, że było wydane polecenie czuwania nad nim: czterech olbrzymów stało przy nim na straży z podnie-

sionymi trąbami, z wyszczerzonymi kłami, jakby grożąc, że skarcą surowo najmniejszy zaimiur ucieczki. Westchnął tedy, machnął ręką i zaczął się oglądać dokoła.

Śmierć z głodu albo pragnienia nie zagrażała mu, bo tu i ówdzie spostrzegł stopy rozmaitych owoców i trzciny cukrowej, a wody w strumieniach było pod dostatkiem, ale czy nie mógł obawiać się śmierci ze strony skrzywdzonego słonia?

— Potwory są mądrzejsze, niż przypuszczałem — myślał — przecież nie bez przyczyny mnie tu przywlokły... Nie pożałuję, bo to nie jest w ich zwyczaj, ale kto wie czy któremu z nich nie podoba się poczęstować mnie trąbą? Oj, miałbym się spyszną!

Widząc jednak łagodne, przyjacielskie nie-mal usposobienie słoni, nabrał odwagi, zbliżył się do stosu owoców drzewa chlebowego i zaczął się posiłkować. Słonie wcale mu tego nie bronili, owszem zdawały się być z tego zadowolone.

Wtym wśród gromady wszczęło się zamieszanie, więc myśliwiec dalej w nogi!

Przypadł do ziemi, jak waz zaczął się czołgać w trawie, lecz w tej chwili ujrzał swoich czterech strażników, którzy zbliżyli się do niego z podniesionymi trąbami.

— Do licha — szepnął wylękniony, zatrzymując się i przybierając minę pobłaźną — oto mi czujni panowie... Niech kule biją takich eleganckich panów!

Dokończenie nastąpi.

mieniem płynęła płonąca nafta. Na ratunek sprowadzono pionierów, którzy syją waly, ażeby nie dopuścić do rozszerzenia się pożaru. Straty, żądzone przez pożar olbrzymie.

Kronika zagraniczna.

ROSJA.

Petersburg. Na posiedzeniu Dumy ministerstwo wojny przedłożyło projekt ustawy, dotagającej się środków na uzupełnienie zapasów materiałów i na wybudowanie odpowiedniego budynku na ten cel. Druga ustawa domaga się środków na zbadanie drogi strategicznej w zachodnim obszarze granicznym. Izba uchwaliła potrzebny na to kredyt w wysokości 92 milionów rubli.

Cesarz Wilhelm u cara. „Rjecz“ zapewnia, że do ambasady niemieckiej w Petersburgu nadeszły już kufry z garderobą cesarza Wilhelma. Wizyta cesarza nastąpi więc w czasie najbliższym. Celem jej jest wykazanie, że stosunki między Niemcami i Rosją nie są bynajmniej naprężone i pokojowieuropejskiemu nie grozi żadne niebezpieczeństwo.

Podczas pobytu cesarza na ziemi rosyjskiej odbyła się wielkie przeglądy wojsk.

Przyjęcie będzie bardzo świetne. Czas i miejsce zjazdu nie są jeszcze oznaczone.

Ekaterynosław. Wczorajem w jednej z kopalni w Jezowie nastąpił wybuch gazu, który spowodował wiele ofiar w ludziach. Znajdowało się w kopalni podczas wypadku około 400 ludzi. Dotychczas wyciągnięto tylko 70, z których dziesięć wkrótce umarło. Odnaleziono już 160 trupów silnie popalonych. Pracuje nad ratunkiem cała artel stacji ratunkowej.

— Na stacji Triluzka bandyci napadli na kasjera fabryki, Kaminskiego, wiozącego pod eskortą strażnika 24.000 rb. Kasjera raniono, strażnika zabito, lecz przy pomocy przybyłego wojska pieniądze odebrano. Bandyci aresztowani.

Cherson. Na zasadzie przepisów o ochronie nadzwyczajnej, gubernator zawiesił w czynnościach naczelnika ziemskiego, Łukina, podejrzewanego o utrzymywanie stosunków z rewolucjonistami. Sprawa Łukina będzie rozpatrywana przez radę gubernialną.

Tyflis. Na szosie Kudzarskiej zrabowano pocztę, eskortowaną przez 4 strażników. Bandyci rzucili kilka bomb, zabity jeden pocztowy, ciężko raniony drugi. Zrabowano przeszło 26.000 rubli. Jeden z bandytów zabity, drugiego schwytano.

Ryga. Pożar zniszczył gmach Towarzystwa lotyckiego, w którym mieścił się teatr, muzeum i redakcja wydawnictwa „Latwia“. Szkody wielkie, lecz wypadków z ludźmi nie było.

— Sął wojenny w sprawie 14 osób, oskarżonych o powstanie zbrojne w Dondagenie, guberni kurlandzkiej, wydał wyrok, na którego podstawie 2 podsądnych skazanych zostało na 10 lat ciężkich robót, 3 na 6 lat i 8 miesięcy, a 9 zostało uniewinnionych.

Zytomierz. Wykrył grupę anarchistów, którzy podczas aresztowania stawili żaarty opór żandarmerji. Anarchistów zabito 3, raniono 3 aresztowano 13. Żandarmerji raniono 6, jeden z nich zmarł w szpitalu.

TURCJA.

Konstantynopol. Dzienniki donoszą, że powódź nawiedziła miasto Tokat w wilaście Sivas. Kilka budynków publicznych, oraz blisko 600 domów i sklepów zostało zniszczonych. Liczba ofiar wynosi przeszło 1000. Miasto Amasza w tymże wilaście nawiedził pożar, spaliło się przeszło 400 domów.

PERSJA

Z Tebrysu donoszą, że rewolucjonisci tamtejsi oczekują rozkazu pomarszerowania na Teheran. W pobliżu rezydencji szacha znajduje się obecnie w pogotowiu osiem batalionów piechoty, brygada kozaków szacha, 18 dział i oddział kurtaczowski. Z prowincji nadejścią dalsze oddziały wojska stronników szacha. W mieście panuje spokój. Po dwudniowym bezrobociu otwarto bazy.

PROTOKUŁ

z posiedzenia Grupy Związkowej w Rio Grande, odbytego w dniu 18 Lipca 1908 r.

Otrzymałmy od grupy związkowej w Rio Grande kopię protokołu z posiedzenia dn. 18 Lipca, b. r. z prośbą o wydrukowanie, którą w całości podajemy.

„Nizej podpisani uchwalają utworzyć w mieście Rio Grande stanu Rio Grande do Sul grupę, zależną od Związku Narodowego Polaków w Brazylii z siedzibą w mieście Kurytybie stanu Parana.“

Postanowiono wziąć pod obrady projekt regulaminu, który ma być wniesiony na Sejm w dniu 15 i 16 Sierpnia b. r. Po ożywionych debatach grupa uchwala podać na Sejm wniosek, aby art. 1 tegoż regulaminu został zmieniony w następujący sposób:

— „Każdy członek Związku ma prawo do pożyczek ze skarbu związkowego aż do wysokości 500 milrejsów. Suma ta może zostać podwyższoną, o ile stan skarbu według opinji zarządu na to pozwoli. Warunkami do otrzymania pożyczki są: a) proszący o pożyczkę musi być od roku członkiem Związku. b) Proszący musi co najmniej rok zamieszkiwać w miejscowości z której wnosi p.danie o pożyczkę. c) W wypadku, w którym proszący zamieszkuje mniej niż rok w miejscowości, z

której wnosi podanie o pożyczkę, ma przedstawić piśmienną opinię o sobie od grupy, do której poprzednio należał, lub, jeżeli grupy w danej miejscowości niema, od czterech członków Związku z miejscowości, gdzie poprzednio przebywał.“

W dalszej dyskusji nad projektem tegoż regulaminu zastanowiono się dłużej nad odpowiedzialnością poręczycieli.

Grupa jest zdania, że odpowiedzialność ta nie powinna ustawać w zupełności z chwilą stwierdzenia przez zarząd, iż pożyczone pieniądze obrócone zostały na cel w podaniu wymieniony, gdyż okoliczność ta, zdaniem grupy, dawałaby pole do lekkomyślnego szafowania rękami za ludzi, często mało ręczytelom znanych, którzyby mogli mimo wszelkich zastrzeżeń nadużyć zaufania Związku. Wobec tego grupa podaje wniosek, aby art. 3-ci i 4-ty Regulaminu, zostały ściągnięte w jeden artykuł, sformułowany w ten sposób:

„W razie, gdyby członek pożyczający ze zleż woli, lub przez niedbalstwo zawiódł położone w nim zaufanie, ręczytele, odpowiadają solidarnie za jedną trzecią część straconej przez Skarb Związku sumy; za drugą trzecią część odpowiada solidarnie grupa, do której zaciągający pożyczkę należał, a ostatnią dopiero część traci Skarb Związku. Odpowiedzialność tak ręczyteli jak i grupy ustaje całkowicie tylko w takim razie, jeżeli zaciągający pożyczkę nie jest w możności zwróceniu takowej z powodu klęski od niego niezależnej, jak np. powódź, szarańcza, grad, pożar, ciężka choroba i t. p.“

Grupa jest zdania, że pożyczek wogóle nie powinien Związek udzielać bez piśmiennej opinji o członku od grupy, lub, jeśli do grupy nie należy, od czterech związkowców, którzy w takim razie odpowiadają mają za wydaną opinię, tak jak gdyby stanowili grupę.

Przy dyskusji nad Ustawą Związku, członkowie grupy uskarżali się na lekkomyślne stawianie kandydatów do Zarządu Związku z pomiędzy ludzi, którzy już dawniej obierani kilkakrotnie do zarządów różnych towarzystw w Kurytybie, wykazali jeśli nie złą wolę, to co najmniej kompletne niedbalstwo. Grupa jak najenergiczniej protestuje też przeciw kandydaturze ks. Stanisława Trzebiatowskiego, który chociaż może i chce być Polakiem, jednak dopóki jest członkiem zakonu i to niemieckiego, któremu ślepe posłuszeństwo powinien, sam chyba uzna niestosowność swej kandydatury do Zarządu Związku Polskiego.

Aby uwagi powyższe uzyskały raz na zawsze moc prawną, grupa podaje na obecny sejm wniosek, aby Ustawa Związku uzupełniona została artykułem następującym:

„Do Zarządu Związku polskiego w Brazylii mogą być wybierani jedynie ludzie wolni, którzy nikomu po za własnymi przekonaniem ślepego posłuszeństwa nie przysięgali. Wyłączeni zatem od Zarządu Związku są tym samym: członkowie policji, członkowie zgrozmadzeń zakonnych i wojskowi, znajdujący się w służbie czynnej.“

Po za tym wnioskiem oficjalnym, grupa prosi Wysoki Sejm Związkowy, aby nie wybierano do Zarządu ludzi, którzy już wykazali swe niedbalstwo przy prowadzeniu niektórych towarzystw polskich w Kurytybie, doprowadzili je do zupełnego upadku i nieładu, a przez to samo wstydu ogółowi polskiemu w Brazylii przysporzyli.

Następuje lista kandydatów do Zarządu Związku.

Wobec niemożności wysłania na Sejm obecnego specjalnego delegata z Rio Grande, grupa mianuje niniejszym delegatem swoim p. Józefa Słończewskiego, oddając mu do rozporządzenia wszystkie swoje głosy i prosząc go o przedstawienie Sejmowi powyżej wymienionych wniosków.

Grupa postanawia wysłać protokół z obecnego posiedzenia na ręce dotychczasowego Prezesa Związku, p. Józefa Słończewskiego, a kopje tegoż protokołu do redakcji pism polskich w Kurytybie z prośbą o wydrukowanie.

Grupa obiera swoim skarbnikiem p. Witolda Białynię Kowerskiego i poleca temuż skomunikować się z zarządem głównym w Kurytybie w sprawie terminów wysyłki pieniędzy od grupy do Skarbu związkowego.

Rio Grande, dnia 18 Lipca 1908 roku.

Podpis: Antoni Włodarski, Aleksander Zuchowski, Edward Dytz, Feliks Wojciechowski, Franciszek Bukowski, Ignacy Budaszewski, Ignacy Zaremba, Marjan Zbrozek, Michał Sobierajski, Roman Sieczka, Stanisław Grabski, Witold Białynia Kowerski, Ewa Bukowska, Józef Białynia Kowerski, Zenon Budaszewski, Katarzyna Włodarska.

KRONIKA.

PRZEMYSŁ KRAJOWY. Według ostatnio dokonanych obliczeń statystycznych, przemysł krajowy Brazylii przedstawia się w cyfrach następujących: Dystrykt Federalny posiada 600 zakładów przemysłowych z kapitałem 145. milionów milrs.; Stan S. Paulo ze stołicą 184 zakłady z kapitałem 121. milionów milrs.; St. Rio de Janeiro 188 zakładów z kapitałem 65.000.000\$000;

St. Rio Grande do Sul 215 zakładów z kapitałem 37.000.000\$000; Stan Pernambuco 100 zakładów z kapitałem 44.000.000\$000; Stan Bahia 120 zakładów z kapitałem 30.000.000\$000; Stan Para 30 zakładów z kapitałem 8.000.000\$000; Stan Maranhão 25 zakładów z kapitałem 12.000.000\$000; Stan Minas Geraes 523 zakładów z kapitałem 27.000.000\$000; St. S. Catharina 140 zakładów z kapitałem 8.500.000\$000; St. Alagoas 30 zakładów z kapitałem 6.800.000\$000; St. Parahyba do Norte 23 zakładów z kapitałem 3.700.000\$000; St. Ceara 25 zakładów z kapitałem 3.700.000\$000; Stan Amazonas 15 zakładów z kapitałem 2.500.000\$000; St. Piahy 7 zakładów z kapitałem 2.300.000\$000; Stan Rio Grande do Norte 15 zakładów z kapitałem 900.000\$000; St. Espirito Santo 5 zakładów z kapitałem 200.000\$000; St. Sergipe 26 zakładów z kapitałem 5.700.000\$000; zaś nasz Stan Parana posiada 126 zakładów różnych, z kapitałem mniej więcej około 18.000.000\$. Do ogólnej statystyki o stanie przemysłu krajowego, brak jakichkolwiek danych ze Stanów Matto Grosso i Goyez.

DZUMA. Jak donoszą z Bahii w kilku miejscach zjawia się tam dzuma, jak sądzą z objawów choroby u niektórych osób. Miejscowy komitet higieniczny zarządzi zastosowanie energiczne, wszelkich możliwych środków dla zapobiegnięcia rozszerzenia się i stłumienia w zarodku tej groźnej epidemji.

IMMIGRACJA. Minister komunikacji, dr. Miguel Calmon, przeznaczył do dyspozycji inspektora kolonijacji Parany 300 tysięcy milrejsów dla pokrycia kosztów rebot kolonizacyjnych naszego stanu. Część tej sumy została użyta na wykupienie nowych linii kolonji Prudentopolis, która przeżyła obecnie na własność rządu federalnego.

CIEMNOTA KLERU. W ubiegłym tygodniu zaszedł fakt, rzucający nowe światło na ciemnotę i zacofanie duchowieństwa: w Rio zmarł jeden z uczni marynarki wojennej, ciało jego zostało wniesione do jednego z kościołów i według zwyczaju trumna była pokryta sztandarem narodowym; proboszcz owego kościoła zwrócił się do kolegów zmarłego z żądaniem, aby zakryli napis na sztandarze, który jak wiadomo jest następujący: „Ordem e Progresso“ czyli „Porządek i Postęp“; gdy ci zaś nie uczynili zadość jego żądaniom, wziął i rzucił sztandar okrywający trumnę. Postępek ten księdza wywołał ogromne wzburzenie nie tylko wśród uczniów marynarki, lecz ogólne, prawie w całej Brazylii, sprawa ta oparła się aż w senacie. Nawet tu, w Kurytybie, parę dni temu odbył się na placu Tiradentes miting uczący się młodzieży, na którym uchwalono między innymi urządzić manifestację anti-klerykalną przed domem tutejszego biskupa, co natychmiast uczyniono.

Fakt powyższy chyba nie potrzebuje żadnych komentarzy, on sam wskazuje, jak powinniśmy się zapatrywać na duchowieństwo w otwiera oczy na ich sprawki tym, którzy jeszcze nie zdolali należycie ich ocenić. Chyba w napisie na sztandarze „Porządek i Postęp“ który cała republika brazylijska wzięła sobie za dewizę, najbardziej religijny człowiek nie może znaleźć nic zdrożnego? Przeciwnie, jest to hasło bardzo szczytne i chwalebne. Ksiądz więc ów, postępiem swym dał jeszcze jednemu faktem więcej dowodów o ciemnocie i zacofaniu kleru.

NOWA DROGA. Minister wojny Marszałek Hermes otrzymał zawiadomienie ze Stanu Rio Grande do Sul, jakoby inżynierowie argentyńscy otwarli nową drogę w pobliżu rzeki Uruguay i tym samym niedaleko granicy brazylijskiego terytorjum.

KRWAWA ZAJŚCIE. Jak donoszą z Paranagua dn. 2 b. m. o godz. 4 po południu niejaki Brailio Vianna z przyczyn dotychczas niewyjaśnionych strzelił z rewolweru do młodzieńca na-

zwiskiem Trajano Franco, który brocząc krwią upadł na ziemię Brailio po dokonaniu zbrodni umknął.

SAMOBÓJSTWO. Szef policji miejscowej otrzymał telegraficzne zawiadomienie od komisarza z Lapy o popełnieniu tam samobójstwa przez niejakiego Damaso de Souza, który wystrzałem z rewolweru pozbawił siebie życia.

OKRĘT PORTUGALSKI. W tych dniach przybył do Rio pancernik portugalski „D. Amelia“ mający reprezentować Portugalję na wystawie krajowej, otwarcie której ma nastąpić jak donoszą dnia 11 b. m.

NA LOTERJĘ T-WA SZKOŁY LUDOWEJ ofiarowały fanty następujące osoby: p.p. Apolonja Rostafińska, Carlos Poetzcher, Oliveira Arobikina, Szajc-Walerjan Badene, Marja Belina, Ewa Proniewska, Józef Słończewski, Julian Wasilewski, Stanisław Uziębło, Jadwiga Leszczyńska, Marja Kluk, Z. X. Władysław Grabski, Aniela Adamik, Marta Mänge, Dominik Kurecki, Stanisław Neyma, Kurecka, Jan Szczepanski, Jan Zwierzykowski, Hala Czarnecka, Józef Cholewicz, Max Rosenmann, Salvador Rynkowski, Karol Liszewski, Stefan Kretowicz, Franciszek Bojarski, Józef Kietliński, Walenty Rostafiński, Janina Szczepańska, Józef Las, Julian Malinowski, Julian Barański, Wojciech Proniewski, Wenceslau Glaser, Cecylja Glaser, Jan Groszewicz, Bronisława Szymańska, Franciszek Krzyzanowski, Jan Kociumbas, Sabina Łupińska, Marja Wolińska, Bolesław Mizerkowski, Wolińska, Emiljan Żeleznik, Skrobot, Cezar Schulz, Księgarnia Polska.—Wszystkim ofiarodawcom w imieniu zarządu składamy podziękowania.

Ogłoszenia.

NA DOCHÓD T-WA SZKOŁY LUDOWEJ W BRAZYLJI.

Dnia 8 Sierpnia b. r. a godz. 6 wieczorem

w Coliseum

Odbędzie się zabawa w program której wejdzie:

Kinematograf

przedstawiający bardzo ładne serje obrazów

Żywe obrazy

z cyklu historycznych obrazów Grotgera

LOTERJA

na którą przeznaczone są bardzo ładne i kosztowne fanty jak: obraz Kościuszki w złożonych ramach, wachlarsze, parasolki jedwabne, piśmienne przybory, jedwabne krawaty i wiele innych przedmiotów różnego rodzaju.

Każdy bilet wygrywa

Karuzela, Gra w noże

Na zakończenie — B A L — w pięknie na ten cel przystrojonej sali w budynku mieszczącym kinematograf.

Również w osobnej sali, będzie urządzony obfityjacy w różne potrawy, zakąski, orzeźwiające napoje i trunki

Bufet

Ceny wejść razem do kinematografu połączonego z żywymi obrazami i na bal: Dla panów 2\$000, dla pań 1\$000. Dzieci bezpłatnie.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY.

B O R .

P O W I E Ś Ć

PRZEZ

Wacław Zmudzkiego.

18.

— No a cóż to było?—zapytała.

Ignac spojrział jej uważnie w oczy, jakby szukając tam ścieżyny, którą najłatwiej można było trafić do jej zrozumienia.

— Pamiętasz, Władziu — zapytał wreszcie: jak to my dawniej jeszcze dziećmi wymyślali sobie rozmaite zabawy, że to my niby powstańce—na Moskała idziemy? pamiętasz, co się nam działo w duszy, kiedy to pan Łatek, albo Jan nieboszczyk, albo też i wasi opowiadali nam rozmaite historie? Otóż, widzisz, we mnie ciągle coś tak świdrowało, jakby to zrobić, żeby i wszyscy nasi ludzie po całym naszym kraju czuli tak samo, jak i my wtedy. To mi zatruwało życie, bom nie wiedział, jak się wziąć do tego. Ale teraz wiem. Nam opowiadali, będąc i ja opowiadał wszystkim, wszystko, com jeno zasłyszał kiedy. Pójdę po całej naszej ziemi i będę tak chodził bez ustanku, ale ty się nie bój, Władziu! Wrócę ja do ciebie, wrócę choćby z końca świata, niech jeno choć małą część swojej służby odslużę.

Władka zamyśliła się na chwilę, spojrzała gdzieś przed siebie i wreszcie zaczęła zwolna.

— Ja się też wcale nie boję o to...

Ignac popatrzył na nią pytająco.

...bo na twój powrót czekać nie będę!—dokończyła

Nie będziesz?—krzyknął prawie, patrząc na nią z jakimś dziwnym wyrazem, w którym połączyły się w jedno trwoga, gniew i zdumienie:—nie będziesz?

— A nie, bo razem z tobą pójdę...

— Władziu!...

Z piersi jego wydarł się jeden tylko krótki okrzyk, lecz w tym okrzyku mieściła się cała jego dusza. Przygarnął do siebie dziewczynę i usta ich po raz pierwszy złączyły się w długim pocałunku. Odezwawszy się nareszcie siłą woli od jej ust, jak spragniony wędrowiec, który instynktem odczuwa, że ta tak rozkosznie świeża woda kryniczna może go jednak zabić przy nadmiernym użyciu i wstrząsnawszy się, jakby odpychał od siebie zbyt nęcącą pokusę, rzekł prędko.

— Nie, Władziu, to być nie może, ty sama nie wiesz, co mówisz!

— Jaki to nie wiem?—oburzyła się dziewczyna: —to Łapa pójdzie z tobą—prawda? a mniebyś odpędził? więc ja u ciebie mniej od Łapy jestem warta?

Ignac chwycił się za głowę.

— Nie, nie, nie! — zawołał, trzęsąc rękami i głową:—to nie może być, nie może w żaden sposób. Jeszcze my pomówimy o tym kiedyś, bo ja nie dziś ani też jutro zabieram się w drogę, jeszcze ty sama rozmyślisz się inaczej.

Dziewczyna poruszyła tylko głowę, uśmiechnąwszy się jakby sama do siebie, lecz nie odrzekła nic.

Ignac chciał jeszcze mówić dalej, lecz za wrotami rozległy się czyjeś kroki i za chwilę do szopy wszedł Marecki.

— Jakże ci, dziewucho?—zapytał, patrząc na nią troskliwie.

— Lepiej, tatusiu, lepiej. Przespałam się i jakoś mi ulżyło.

Pokraśniała jak wiśnia, nie mogąc się jakoś przyznać, że nie sen to był sprawcą raptownego jej polepszenia, lecz stary przyjął jej tłumaczenie na dobrą wiarę i odetchnął lżej.

— No, to chwalic Pana Boga!—rzekł:—połóżcie sobie jeszcze w spokoju, zaraz ci tu matka ziele przyniesie, a ty, Ignac, chodź na śniadanie, boś pewnie zgłodniał nie gorzej odemnie!

— Bądź zdrowa, Władziu!

Ignac pożegnał dziewczynę, uśmiechnęli się do siebie i rozstali się.

VII.

Ignac jeszcze tego samego dnia chciał zawiadomić Łatkę o swoim postanowieniu porzucenia miejsca gajowego, lecz okazało się, że właśnie na godzinę przed jego powrotem Łatek wyjechał do głównego zarządu lasów, gdzie miał zabawić parę dni. Na Leśniczówce zastał tylko starą Grzegorzową i to mocno chorą.

Babina dogodziła sobie grzybami, na które była bardzo łakoma i teraz zrędziła trochę na siebie, czując po niewczasie wyrzuty sumienia z powodu swej niewstrzeźliwości, najbardziej zaś na Łatkę.

Sowizdrzał ten—mruczała:—grzybów mu się chciało! Nie dziwota, że i człowiek musiał tam coś skosztować przy gotowaniu, a teraz cierp tutaj, a tamtemu ani w głowie czuć, w świat poleciał! A i ty też—zwróciła się do Ignaca:—po całych dniach jeno po tym lesie, jak opętany jaki. Tak byś tu i uświłknął człowieku, nie byłoby nawet komu oczów

szych drogich kamieni. Ten specjalista, swój towar wystawia na giełdzie brylantowej i będzie się starał zbyc klejnot w miejsce najbardziej oddalone od Londynu.

— James Robin mieszka w Liwerpolu przy Markestreet Nr. 211.

Jakże żałuję że sam nie mogę wyjechać dziś wieczorem do Liwerpolu; tej jeszcze nocy, Fred Forster przy ulicy Negger oczekuje na mnie w ważnej sprawie. Nie powstaje przeto nic innego jak tylko byś pan sam puścił się w podróż a proszę zważyć że bardzo nam zależy na czasie jeżeli pragniemy otrzymać pomyślne rezultaty.

— Ba, w razie gdybym pojechał, lady dowie się o tym i ostrzeże swego kochanka.

— Możesz spokojnie jechać milordzie a ręczę że lady nie dowie się o tym. Dziś o godzinie 5 wieczorem odchodzi ekspres do Liwerpolu. o godzinie 9 znajdziesz się pan na miejscu i wyszukasz Robina z którym najlepiej można rozmawiać w godzinach wieczorowych. W razie gdyby brylant miał rzeczywiście w rękach, trzeba mu zaproponować odstępnę.

O godzinie 1 po północy wyjedziesz milordzie z Liwerpolu, zaś o 5 zrana powrócisz pan do domu i wypoczniesz po trudach i podróży.

Uważam że będzie najstosowniej gdy pan oznajmisz w domu że udajesz się na nadzwyczajne posiedzenie nocne do klubu.

— Dobrze, pojedę z tym do Liwerpolu—odrzekł

ci zawrżeć.

Koło południa zrobiło jej się jeszcze gorzej i do wyrzutów sumienia zaczął się przyłączać strach.

Może i naprawdę śmierć! — pomyślała sobie i pod wpływem tej myśli zapragnęła naraz widzieć się ze swoim niepoprawnym małżonkiem.

— Idź ty na wieś—mówiła do Ignaca:—on tam może gdzie jest i sprowadź go tutaj choćby za łeb. Gałgan on jest, nie wart dobrego słowa, ale zawsze mąż!

Ignac pobiegł. Na wsi nie był już kawał czasu lecz wszystko tam było po dawnemu, tylko stara topola, stojąca niegdyś na środku błonia, zwała się wraz z bocianim gniazdem i leżała jeszcze stercząc smutnie do góry zeschniętymi konarami, jak szkielet żebarami.

Na samym początku wsi, tuż obok drogi leżało jeszcze trochę kamieni na miejscu, gdzie niegdyś znajdowała się chata durnej Magdy, a nieco dalej, też przy drodze stała chata Kobialczynej, otoczona wraz z niewielkim ogródkiem wysokim płotem chróścianym. Ignac przypomniał sobie, jak to nieraz, będąc jeszcze małym chłopcem, przełaził przez ten płot, chroniąc się przed gniewem wójtowej i mimo woli zajrzał do środka. Pod cieniem jabłoni właśnie siedziała stara Kobialczyzna, trzymając w rękach jakieś szycie i kiwając się od czasu do czasu, jakby jej się od gorąca na sen zbierało, dwie jej córki wyciągały grabiami z pod drzew na słońce świeżo skoszoną trawę.

— Boże dopomóż!—pozdrowił je chłopiec.

— A daj panie Boże!—odpowiedziały wszystkie trzy na raz i spojrzały ku płotowi.

— Ignac chyba, czy co?—mówiła stara patrząc na niego z pod ręki, którą przysłoniła sobie od blasku oczy: —a tako i on, jak mi Bóg miły on!—zbliżyła się do płotu i ciekawie zaczęła mu się przyglądać.

— Co, matko, nie możecie mię poznać, że się tak przyglądacie pilnie?—zapytał.

— E, poznać, to ja bym cię na końcu świata poznała—odparła stara:—ale wiesz, ludzie tu pletli, żeś ty podobno jak i twoja nieboszka matka, zdurniał trochę, czy co, że podobno wciąż jeno po lesie się włóczysz, z drzewami gadasz, a tyś widzę taki, że i każdemu daj Boże! Już ja i płakała trochę za tobą, boś to przecie w moich oczach na świat się narodził, i pocziwe z ciebie dziecko było zawsze, szanowliwe, usłuchane. I żeby tak zeszczekać, patrzcie-no się! bogdaj że im pypeć na język...

— Ta, niech tam sobie gadają—rzekł chłopiec, machnąwszy obojętnie ręką:—mnie tam od tego nic nie ubędzie.

— I pewnie, i pewnie, że nie. Mądry nie będzie gadał, jeno głupi, ale zawsze, po co mają po próżnicy gęby sobie wycierać. Już ja to i sama nie jednemu muwiłam, ale ten wasz gajowy, co tu zachodzi czasem, opowiadał i przysięgał się nawet, że na własne uszy słyszał, jakieś do sosny gadał ten... ten... wiesz? jak mu tam? on się tu wedle mojej Nastki kręcił!

Kobialczynej przyszła naraz szczęśliwa myśl, żeby przy nadarzonej sposobności wywieść się coś

lord—a jeżeli odnajdę brylant kanaryjski u Robina natenczas... ha, nie ręczę za życie przewrotnej kobiety!

— Zazdrość jest fatalną przywarą lordzie. Co prawda nigdy w życiu nie byłem żonatym i nie wiem jakbym się zachował względem żony którą schwytałbym na wiarołomstwie... Cierpliwości a przedewszystkiem rozważy! Zegnam cię milordzie; jutro o tejże porze przyjdę tu do pana.

— Do widzenia panie Szerlok Holmes — mówił lord drżącym głosem mocno ściskając mu rękę. —nie opuszczaj mnie pan. Jestem cały wzburzony i zdaje mi się jak gdyby mnie zdradził cały świat... I ona... ona która była moją jedyną przyjaciółką!

— Ja również jestem jego przyjacielem a zadanie prawdziwej przyjaźni polega na usuwaniu od naszych przyjaciół wszelkich przykrości, na ochronieniu ich przed zgrzyotami i osłanianiu od niebezpieczeństw. Zegnam!

Szerlok Holmes opuścił nareszcie pałac lorda Canbury, wyszedł na ulicę i ciężko odetchnął mówiąc do siebie:

— Byłby ją zabił również i 7 lutego po znalezieniu u niej listu za gorsem... ocaliłem życie jej... a może i jemu samemu!

ROZDZIAŁ III.

Rozbita szyba.

Nie zapytywał tu kto o mnie, pani Bonnet?

Z temi słowami Szerlok Holmes powracał do

TAJEMNICZE PRZYGODY SŁYNNEGO AJENTA SLEDCZEGO.

SZERLOKA HOLMESA.

Kradzież olbrzymiego brylantu.

C. d.

Lord staniał się ze wzruszenia...

— Mówisz pan że istnieje możność wysłania?

— Hm...—odrzekł po chwili namysłu. Ten którego haniebne stanowisko przy żonie pańskiej wymieniłeś milordzie, nie jest złodziejem zawodowym a więc nie może mieć sposobów zbywania tyle cennych kosztowności. Jeżeli tak jest jak pan twierdzisz, znaczyłoby to iż złoczyńca nowicjusz, człowiek materialnie zrujnowany, będzie się starał brylant kanaryjski jaknajśpieszniej wymienić na pieniądze. To znaczy że brylant już się nie znajduje w Londynie lecz został wywieziony do Liwerpoolu.

Każdy z jubilerów któryby stał się posiadaczem tego klejnotu nie będzie go trzymał u siebie lecz odda natychmiast znanemu Jamesowi Robinowi, zamieszkałemu w Liwerpoolu, składowi najcenniej-

nie coś od Ignaca o pretendencie do ręki swojej córki i przysunęła się już bliżej do płotu, lecz przypomniał sobie, że i Nastka, która grabiła tuż za plecami, mogła coś usłyszeć z tego, zaczęła go prosić do izby.

— Chodź — rzekła: — bo i czegoś tak będziesz za płotem stał. W izbie pogadamy sobie trochę, a możebyś i mleka zsiadłego zjadł?

Lecz Ignacowi propozycja ta przywiodła zaraz na pamięć właściwy cel jego przybycia na wieś. Wytlomaczył się przed starą i na odchodnym już zapisał.

— A nie wiecie czasem, gdzie on może być najprędzej, ten Grzegorz?

— A gdzie może być pijanica taki — odrzekła: — jak nie w karczynie, to pewnie u popa, podlizuje mu się za kieliszek wódki. Tam go najprędzej znajdziesz!

Chłopiec pożegnał starą i ruszył prędkiem, chcąc wynagrodzić stracony na rozmowę czas, a ona zawołała jeszcze za nim.

— A przyjdźże kiedy przy sposobności, przyjdź nie godzi się o ludziach zapominać!

— Dobrze, dobrze! — odrzekł i kiwnąwszy głową, skręcił do karczmy.

Do popa nie chciał mu się zaglądać, postanowił przedewszystkiem tu spróbować szczęścia.

Na progu karczmy siedział sam gospodarz Jankiel. Czas był roboczy, gorący, obrotu w handlu żadnego, Jankiel wypoczywał. Wypałał się dobrze przed południem, wypałał się po południu i wylazłszy nareszcie z pod pierzyny na słońce, usiadł oto na progu, spał na rękach upierzoną rudą brodę i myślał sobie powoli, bez natężenia, spoglądając apatycznie na drogę, po której co chwila przejeżdżały fary z sianem. Oczy jego zatrzymywały się nieco dłużej jedynie tylko na stadach gęsi, które jak kamienie białe tu i ówdzie po błoniu, a natomiast z wielką szybkością przebiegały ponad pobliską gnojówką, w której rozkoszowały się świni. Te świni bardzo obrażały jego delikatne uczucia. Gardził nimi do głębi duszy, starał się nie zwracać wcale na nie uwagi, lecz ilekroć która z nich kwiknęła z nadmiaru rozkoszy, twarz jego przyoblekała się wyrazem nieopisanego odrazu, chwilami nawet spluwał, mruczał pod nosem przekleństwa i głośnie krzyczał na swoje bachory, które w dziecięcej naiwności zbył się do gnojówki zbliżyły.

Gdy Ignac stanął przed nim, spojrzał na niego uważnie, jakby chcąc wymarkować, co może być wart taki gość, i zaraz obrócił się z zupełną obojętnością.

— Czy niema tu u was czasem starego Grzegorza? — zapytał chłopiec.

— Czasem? no! — żyd uśmiechnął się wzgardliwie — dlaczego ma być czasem? on tu zawsze jest, nie tylko czasem!

Ignac wszedł do izby szynkowej, w której obecnie było tylko troje ludzi: Jankłowa, Grzegorz i Franek.

Jankłowa miesiła kluski na kolację, posadziwszy dla wygody najmłodszego swego synka tuż na stolnicy, aby matczyńskie oko mogło snadniej czuwać nad nim, dwaj pozostali siedzieli przy stole, obok wypróżnionej do połowy flaszki. Grzegorz odpędzając co chwila natrętne muchy, które cisnęły się do kątów jego sinych, zaślinionych ust, szeptał coś, starając się zabawić Franka, który był fundatorem, lecz ten zdawał się nie słyszeć go nawet.

Siedział pochmurny jak noc, milczący, wsparty się łokciami na stole i tylko od czasu do czasu spoglądał na swego towarzysza z takim wstrętem, że że nawet temu ostatniemu, aczkolwiek był człowiekiem wytrawnym, chwilami robiło się trochę nieprzyjemnie. Ujrawszy Ignaca, Franek zadrżał tak, że aż łokcie poczęły mu skakać po stole, poczerwieniał cały, lecz nie ruszył się z miejsca i tylko oczy nisko spuścił.

Ignac podszedł prosto do Grzegorza i trącił go w ramię.

— Słuchajcie-no, — rzekł — ja tu po was przyszedłem — wasi kazali wać zaraz przychodzić, bo bardzo są chorzy!

Grzegorz popatrzył na niego szklistymi oczyma. — Kazali? kazali? — powtórzył z wysiłkiem — kto mi kazali? A ty wiesz, kto ja jestem, mnie kto może rozkazywać? ty wiesz? — i tu pukał palcem w piersi — ja jestem głowa, ja mąż i mnie baba nie rozkazywać nie może! ja się jej nie będę bał!

Ignac zaczął go mitygować.

— Bójcie-że się Boga, — mówił — także upamiętajcie się! Kobieta tam umiera, czeka na was, a wy se tu wynajdujecie jakieś przyznanie. Musicie iść i już!

— Nie, ja nie pójdę! — upierał się stary widziśsam, czy ja mogę iść? — wskazał ręką na flaszkę — ja nie pójdę. Chyba że... chyba... — tu spojrzawszy ukradkiem na Franka i ręką mu zabiegała — chyba, że razem z tym — dokończył cicho i wyciągnął drżącą rękę w stronę flaszki.

W tej chwili Franek powstał nagle, wyrwał mu flaszkę, grzmotnął nią o podłogę z taką siłą, że przysnęła na drobne kawałki i nie wyrzekłszy ani słowa prędkiem wyszedł z karczmy.

Grzegorz jęknął, jakgdyby ta flaszką nie w podłogę, lecz w jego własne serce ugodziła.

— A, głupi, — zawołał, spoglądając żałośnie na rozbrzydną po ziemi wódkę i załamując ręce — rozbił, tyle daru bożego zmarnował, głupi, głupi!

Ignac roześmiał się z jego strapiionej miny.

— No, teraz już chyba możecie iść, — rzekł — zabierajcie że się, a żywo, bo kiedy my zajdziemy!

Stary nie upierał się więcej. Szedł obok chłopca z opuszczoną głową, wdychając tylko ciężko i mrucząc wciąż pod nosem.

— Głupi, głupi!

Po dłuższym dopiero czasie uspokoił się trochę i zwrócił się do Ignaca.

— Widzisz, — rzekł — głupi on, bo głupi on, bo głupi, ale mię szanuj! Jak tylko niema z kim pić, zaraz do mnie: chodźcie, Grzegorzu, powiada! No, ja idę, bo czemuż nie mam iść, jak mię szanuje?

— Al, — przerwał mu Ignac — z takim szacunkiem! Wstydu wy nie macie na stare lata, Boga wy się nie bójcie, żeby tak oto, jak to stworzenie nie rozumne, jak ten pies za kawałek chleba. Iasić się do każdego, nawet do takiego popa, co sam jest gorszy od ostatniego psa. Oj, odpowiecie wy za to kiedyś, Pan Bóg wam to przypomnia, jak na was czas przyjdzie!

Stary zamrugał szybko bezręsnymi powiekami.

— Co ty mnie będziesz uczył, śmierzdiu jeden! — zawołał — pop, pop! Co pop, co on u mnie znaczy? ja o jego przyjaźelstwo nie stoję, ale jak mię chce uszanować...

Ignac nie dał mu skończyć.

— A, — rzekł — dajcie już lepiej spokój! wy sa-

mi wiecie najlepiej, jak on was szanuje, ale jak wstydu nie macie ani sumienia, to już wam żadne gadanie nie pomoże!

Zamknął i przyspieszył kroku, chcąc przerwać dalszą rozmowę. Grzegorz też nie odzywał się więcej i podążał za nim w milczeniu, poruszając tylko dziwnie dźwiękami, jakby przeżuwał coś, co go wewnątrz trapiło i od czasu do czasu spoglądając niechętnie na młodego swego towarzysza.

Było już dobrze pod wieczór. Ignac z niepokojem myślał o tym, że może już staruszek nie zastaną przy życiu i przynaglał jak mógł starego do szybszego chodu, lecz gdy stanęli już nareszcie przed domem, obaj skamienieli ze zdumienia. Na progu siedziała stara Grzegorzowa i karmiła gotowanym kurczętą, pierwsze, jakie się wyległy w tym roku.

A stało się to w taki sposób. Wkrótce po odejściu Ignaca, babina uczuła tak silne boleści, że gotowała się już oddać Bogu ducha bez pożegnania z małżonkiem. Dla ulżenia sobie, przyszło jej na myśl napić się trochę wody.

Zwlekła się z pościeli i nie bardzo zważając na to co pije, byle prędzej, trafiła wypadkiem na grzaną wodę. To ją ocaliło. Woda sprawiła natychmiast swój pożądany skutek i stara poczuła się naraz, jakby się niebo przełamało i otworzyło. Podziękowała gorąco Bogu za wyraźny cud i nie tracąc czasu, zabrała się do zwykłych swych zajęć.

Widok męża przypomniał jej znów nieszczęsne grzyby i w sercu jej zawrzało.

— Jesteś? — zawołała, zrywając się i groźnie potrząsając warząchwą — jesteś ty pijaku, wólczo! Bogda cię Bóg ciężko pokarać za moją krzywdę, bogdaś nie doczekał jasności niebieskiej oglądać, bogdaś... — stąra aż się zachłusnęła duszącym ją gniewem i kaszel przerwał na chwilę wezbrany potok jej wymowy.

Grzegorz spojrzał na Ignaca z takim wyrzutem w oczach, że ten ostatni nie mógł się powstrzymać od głośnego śmiechu.

— Czego się śmiejesz ty, trznadlu jeden! — wybuchnęła z nową siłą — z mojej niedoli się śmiejesz? Czekażcie, ja jego nauczę, ja mu odpłacę za moją poniewierkę, za pośmiewisko ludzkie! — i posunęła się ku Grzegorzowi.

Stary szybko zrejterował za plecy Ignaca.

— No, no, — zawołał — przysuń się jeno! Ty myślisz, że ja się ciebie boję? a tyś zapomnieli o tym, żeś mi ślubowała poszanowanie, że ja twój mąż i pan że...

Tu urwał nagle, gdyż przed oczami mignęła mu warząchew, cisnięta z zamachem ręką rozgniewanej małżonki. Schylił się śpiesznie, a Grzegorzowa, wyczerpana złością, z głośnym zawodem upadła na próg.

Stary śmiejąc wyjrzał z za pleców Ignaca.

— To tak? — zawołał — to ty się do bicia rwiesz, tak mię szanujesz, takie u ciebie sprawiedliwe posłuszeństwo małżeńskie? Poczekażcie, będzieś ty mnie tu widzieli teraz! Oczy sobie wypłaczesz, na kolanach będziesz prosić, ale ja cię od dziś dnia znać nie chcę, kiedyś taka.

Poprawił czapkę na głowie, utarł usta grzbietem ręki i nie oglądając się, z godnością ruszył napowrót drogą wiodącą do wsi.

C. d. n.

domu przy ulicy Baker; było to o godzinie 10 wieczorem.

— Jakiś pan przychodził kilka razy i dopytywał się o pana; — odrzekła szanowna pani gospodyni — oprócz tego, na pańskim biurku leży kilka listów.

— Nadeszły pocztą czy przez posłańców?

— Pocztą; przyniósł je mały Paddy, wie pan, który zasłępuje chorego listonosza Shefersona.

— Dziękuję kochanej pani Bonnet... Harry już wyszedł?

— Wyszedł dopiero co, panie Sierlok Holmes.

— Czy w ciągu popołudnia, jak mu poleciłem, był w domu?

— O tak, całe popołudnie. Następnie zjadł obiad i wyszedł przed kwadransem.

Sierlok Holmes skłonił głowę i poszedł po schodach na górę do swoich pokojów na górnym piętrze. W połowie schodów obrócił się i rzekł do pani Bonnet.

W razie gdyby tu w towarzystwie Harrego zgłosiła się pewna dama, niechże ja pani najspokojniej przyśle do mnie. Może się pani nie ukazywać ze swego pokoju ponieważ nie życzy sobie aby owa dama była cokolwiek krępowana.

— Zastępuje się do pańskiej woli — odparła gospodyni — Myślę że znamy się już przeszło dwadzieścia lat a przez cały ten czas nie dałam panu powodów do narzekania na nieposłuszeństwo.

— To prawda moja dobra pani! — potwier-

dził z życzliwym uśmiechem, znikł na zakręcie schodów i po kilku chwilach wszedł do swojej pracowni.

— Mam jeszcze półtorej godziny wolnego czasu zanim nadejdzie Lady Diana Canbury i zaszczyć mój dom swymi odwiedzinami — mówił do siebie, przyczem zdjął surdut i narzucił wygodną, przestronną marynarkę.

— Jestem trochę zmęczony i zdrzemnę się przez ten czas. Odgłos dzwonka zbudzi mnie natychmiast; w najgorszym razie Harry przyjdzie na górę i da mi znać o przybyciu lady... Poczynamy przeto przygotowania.

Były one nadzwyczaj proste i mało skomplikowane. Sierlok Holmes mianowicie nie mógł zasnąć bez trzymania w zębach fajki. Musiał przedewszystkiem wypalić fajkę co uspokajało jego spracowane nerwy i sprowadzało pożądany wypoczynek.

Tak więc nabił tytunem swoją krótką fajeczkę, zapalił, położył się na sofie i zapatrzył w błękitne kłęby dymu, pod wpływem czego przed jego ruchliwymi oczyma przesuwały się liczne obrazy, w końcu przymknął powieki i zasnął.

Spał rzeczywiście mocno co bynajmniej nie przeszkadzało że nie wypuszczał fajki z zębów i to w tak zręczny sposób że nigdy nie uрониł na sofę lub na odzież choćby maleńkiej iskielki ognia.

Przyzwyczaił się do podobnego systemu spania był przeświadczony że w ten a nie inny sposób sen pokrzepia jego umysł i ciało. Przytym wyrozumo-

wał że fajka wciąż balansując w jego ustach i zmuszając je do odruchowej czujności, nie pozwala mu zasnąć zbyt twardo czyli jednym słowem zmusza go do czujności.

To też śpiąc smacznie słyszał najbliższy szmer w swoim pokoju, najmniejszy gwar na ulicy lub pod swoim oknem, każdy krok na schodach i wogóle w domu.

Zerwał się nagle, poruszył i mruknął:

— Aha, zajęci! w tej chwili... Teraz Harry wysadza damę z powozu... zaraz zadzwoni... Ale co to jest! To nie są kroki Harrego... jakiś mężczyzna tupie na schodach z wściekłością... Iod Percy Canbury!

Ktoś zastukał we drzwi i nie czekając aż mu odpowiedzą otworzył je; lord Canbury wpadł do mieszkania Sierloka Holmesa.

Znakomity detektyw wyteżył wszystkie zasoby silnej woli dla ukrycia wyrazu zdumienia które gwałtem występowało na jego obliczu. Więc też z zupełnym spokojem i nawet z uśmiechem poszedł na powitanie gościa z przeciągniętą ręką.

Jeden rzut oka na zegar ścienny przekonał Holmesa że jego drzemka przeciągnęła się zbyt długo bo aż po za północ.

C. d. n.

Pogadanki naukowe.

GRAFIT I DJAMENT.

Grafit jest to materiał, którego używamy do pisania w dzisiejszych ołówkach czarnych, niegdyś ołówki wyrabiano z ołowiu, który jest tak miękki iż zostawia szare rysy na papierze, — stąd nazwa ołówka; obecnie robi się ołówki z grafitu. Jest to odmiana węgla kopalnego, ale posiada niektóre własności odrębne.

Przedewszystkiem — grafit nie pali się w zwyczajnym ogniu. Zastrugaj ołówek, tak, żeby duży kawał grafitu wystawał z drewnianego i włóż ten grafit do ognia. Będzie się zarzył, ale się nie spali. Nawet w bardzo silnym ogniu grafit się nie pali; można go spalić dopiero w czystym tlenie — i wtedy, łącząc się z tlenem, daje gaz węglany, taki sam, jak każdy węgiel, który spalamy.

Grafit spotyka się w pokładach znacznej grubości. Jest to kamień szary, połyskujący, tak miękki, że paznokciem się rysuje, a na papierze zostawia czarny, trwały ślad. Dlatego właśnie używamy go do ołówków. Przy tym budowę ma inną niż węgiel kamienny, składa się bowiem z drobnych blaszek, niby łuszek, ściśle przystających do siebie.

Słynne pokłady grafitu znajdują się w Niemczech południowych (w Bawarii) oraz w Syberji.

Jakie jest pochodzenie tej „odmiany węgla” — nie wiemy, nie jednak nie wskazuje, żeby pochodził z roślin. Prawdopodobnie do powstania grafitu przyczyniła się siła ognia wewnętrznego ziemi jeszcze w czasach stęgnięcia jej skorupy. Ciekawa rzecz, iż blaszki grafitu wytwarzają się pod wpływem wielkiego gorąca w piecach hutniczych przy wytopianiu żelaza z rudy.

Grafitu używamy na ołówki, na kotły ogniotrwałe, do mieszaniny „ziemistej”, z której robią formy do odlewów żelaznych.

Przy wyrzbie ołówków grafit rozcinają maszynami najpierw na cienkie blaszki, a potem na laseczki, które następnie wkładają w drewnianą. Gorsze gatunki grafitu miały na makę, mieszając z gliną, dodają wody i otrzymują w ten sposób ciasto przeciśnięte przez sito; tak otrzymują wałeczki, które suszą i używają na wyrób tańszych ołówków.

Drewnianą przygotowaną tak, że maszyna tnie drzewo na deseczki, grubości ołówka. Druga maszyna robi na powierzchni deseczki karby, odpowiadające każdej grubości jednego ołówka. Potem deseczkę przecinają wzdłuż na dwie połowy z jedną stroną płaską, a drugą wzdłuż karbowaną. Na płaskiej maszyna robi podłużne wcięcia, w które wkłada się wałeczki grafitu. Pozostaje teraz złożyć i skleić dwie rozcięte połowy deseczki, rozciąć ją na pojedyncze ołówki, oglądzić, odmalować, wycisnąć stempel i puścić w świat.

Robota idzie bardzo szybko, tak, że dziennie setki tysięcy ołówków grafitowych wychodzi z fabryki na użytek ludziom. Dawniej ołówki sprowadzano do nas przeważnie z Niemiec, teraz mamy fabrykę swoją, Majewskiego w Pruszkowie pod Warszawą, która wyrabia ołówki doskonałe.

Jeśli już grafit mało był podobny do węgla, to zupełnie do niego niepodobnym jest djament — słynny drogi kamień, którym ludzie bogaci lubią przyozdabiać swoje pierścienie, broszki i kolczyki.

Gdybyśmy djament obejrżeli w pierścieniu, przedstawiałby się on nam jak kawałek szkła bezbarwnego, przezroczystego, oszlifowanego prawidłowo w trójkątne płaszczyzny z bardzo silnym połyskiem i mieniącymi się barwanymi tęczy przy najmniejszym poruszeniu.

Taki djament zowie się brylantem.

Spróbujmy tym brylantem pociągnąć po szkle — a otrzymamy na nim głęboką rysę. Taka sama rysa da nam djament na każdym kamieniu, nawet na żelazie i stali. Pokazuje to, że jest on niezmiernie twardy — jest najtwardszy ze wszystkich minerałów.

Pomimo tej twardości, djament jest bardzo kruchy; broń Boże uderzyć go młotkiem, bo rozbię się na kawałeczki.

W ogniu zwyczajnym nie spali się — ale w czystym tlenie spala się zupełnie, dając gaz węglany. Jest więc djament węglem i to węglem najczystszy, nie zawierającym zwykłych zanieczyszczeń. Brylanty są djamentami sztucznie oszlifowanymi. W przrodzie djamenty znajdujemy w postaci luźnych, lub wrośniętych w skalę ziarn, zawsze prawidłowych, najczęściej są one otoczone 8 płaszczyznami trójkątnymi, ale bywa ich 12, 24 i więcej. Wiemy już, że takie prawidłowe bryły przyrodzone zowią się kryształami; a zatem djament jest węglem krystalicznym, tak samo, jak marmur jest krystalicznym wapieniem.

Najczęściej djamenty są bezbarwne i przezroczyste — i takie są najpiękniejsze, są to djamenty „czystej wody”; bywają jednak różnie zabarwione — żółtawe, zielonawe, a nawet czarne. Ostatnie, zwane karbonatami, są najmniej cenne.

Wielkość djamentów wogóle jest nieznaczna — od drobnych jak piasek, do takich, jak orzech laskowy lub mały kartofel. Im większym jest djament, tym jest oczywiście droższy, lecz cena ich rośnie znacznie szybciej niż ciężar, a przyszytym zależy od piękności, połysku, rzadkości i innych względów. Djament wielkości ziarnka grochu, kosztuje paręset rubli; djamenty wielkie cenią się na setki tysięcy milów. Jest na świecie kilkanaście

djamentów wielkich, stanowiących przeważnie własność skarbową różnych państw. Każdy z nich ma osobną nazwę; jest pilnie strzeżony i posiada swoją historję — nie zawsze wesołą.

Djamenty kopią w trzech głównych okolicach ziemi: w Indiach wschodnich w Azji, w Brazylii, w Ameryce i w Transwaalu w Afryce południowej. Najpiękniejsze są indyjskie. Kopanie odbywa się pod dozorem straży uzbrojonej, a najmniejsze przestępstwo ze strony robotników, szczególnie zaś kradzież, są surowo karane.

Kopac djamenty jest bardzo trudno, gdyż są one porzucane pośród ziarn żwiru i piasku, które trzeba ziarno za ziarnkiem przebierać, tymbardziej, że kryształ surowe djamentu nie posiadają połysku.

Piękny połysk i cudną grę barw nadaje im dopiero sztuczne szlifowanie. Szlifuje się djamenty zapomocą płyt stalowych, wprawianych w bardzo szybki obrót i posypanych proszkiem djamentowym. Przy szlifowaniu nadaje się djamentom różne postacie, ograniczone zwykle trójkątami lub czworokątami płaszczyznami. Robota ta wymaga wielkiej zręczności. Najstojniejszą szlifownie djamentów znajdują się w Paryżu, Antwerpii [w Belgji] i Amsterdamie (w Holandji.)

Mówiliśmy, że djamenty, a właściwie brylanty, służą jako drogocenne kamienie na ozdoby. Jest to oczywiście korzyść niewielka — i prawdę mówiąc, szkoda tyle „pracy ludzkiej poświęcać, żeby szukać tych błyszczących kamyczków, służących próżności bogaczy. Prawdziwy pożytek z djamentów mamy ten, że oprowione odpowiednio, służą do krajania szyb.

Uczni dawno łamią sobie głowy nad pochodzeniem djamentów, a także nad sztucznym ich otrzymywaniem.

Jak powstały djamenty. Przy jakich warunkach czarny, miękki, nieprzezroczysty węgiel mógł zamienić się w bezbarwne, przejrzyste i tak twarde kryształy djamentu? Przypuszczają, że stało się to za sprawą ognia: przy strasznym żarze pierwotnym ziemi mógł węgiel zamienić się w parę węglową, a para ta, uwięziona w zamkniętej zewsząd skale, potem przy stygnięciu mogła skroplić się i stwardnieć w kryształ.

Pewien uczeń ogrzewał długo i silnie prószek węglowy w rurach żelaznych, szczelnie zamkniętych; otrzymał przyszytym bardzo drobne ziarneczka krystaliczne, które rzeczywiście okazały się małymi djamentami. Kto wie, może z czasem będziemy umieli ze „zwyczajnego węgla otrzymywać duże kryształy djamentu — a wtedy ten piękny, tylko dla ludzi bogatych dostępny kamyczek, utraci swoją szluczną wartość.

D. n.

Rozmaitości

NIBY ARKA NOEGO.

Największy transport dzikich zwierząt, który kiedykolwiek znajdował się na oceanie, płynie obecnie z Nowego Jorku do Tilbury. Zwierzęta przeznaczone są do oddziału zoologicznego na wystawę francusko-angielską, która będzie niebawem otwartą w Londynie. Na okręcie znajdują się lwy, tygrysy, lamparty, słonie, wilki, hyeny, jaguary, pumy, niedźwiedzie w najrozmaitszych odmianach, wielbłądy, kaguary, pantery, małpy i mnóstwo innych, drobnych zwierząt. Okazy pochodzą po części z nowojorskiego ogrodu zoologicznego, który je wypożyczył wystawie, częścią nabyte są od handlarzy. Kosztownemu ładunkowi towarzyszy weterynarz z dwoma asystentami i 20 dozorcami.

Postarano się też o odpowiednie dla każdego zwierzęcia pożywienie. W tym celu znajdują się na okręcie cztery krowy, osiem koni, sześć wołów, dwa muly, dwanaście kóz i sześć owiec, aby w razie potrzeby można było rzucić na żywność na okręcie. Prócz tego zabrano 500 worków mięsa ze zwierząt, zabitych przed odjazdem, 200 worków węgrobów wołowej, pół tony sucharów psich, trzy kosze kur, trzy tuziny żywych królików dla węży, tonę lodu dla chorych, pięć ton ryb i sto galonów tranu, tego przysmaku białych niedźwiedzi: zapas wcale pokazy. Poczyniono wszystko, aby tylko zwierzęta nie ucierpiały w drodze z powodu niepogody i choroby morskiej.

WALKA Z WĘŻEM.

Pawilon węzów w ogrodzie zoologicznym w Nowym Jorku był niedawno widowiską wstrząsającą sceny.

Jeden z dozorców wszedł do wielkiej klatki z pokarmem dla ogromnego węza boadusiciela. Wąż, jak się zdawało, był uspijony.

Nagle dozorca uczuł, że wąż owinał mu się dookoła nóg i usiłuje go wciągnąć w głąb klatki. Przerażony chwycił się konwulsyjnie kraty i zaczął wołać o pomoc. Na krzyk jego nadbiegli ludzie i rozpoczęła się straszliwa walka piętnastu ludzi z wężem, w celu wydarcia mu zdobyczy.

Kilka minut widzowie okropnej sceny spędzili w trwodze. Sądono, że nieszczęśliwy dozorca już zgubiony. Wreszcie, dzięki wysiłkom obrońców, wąż zmuszony był puścić swą zdobycz.

Dozorcę wyciągnięto z klatki w stanie opłakanym, ale nie groźnym.

KRWAWY NAPAD NA POLAKÓW W CIESZYNIE.

W Cieszynie panuje zupełna anarchja. Rozpasanie żywiołów prusofilskich, podsypanych i pielegnowanych troskliwie w szkołach niemieckich, przy spółudziale zarządu miasta i miejsowego starosty, doszło do takiego rozwydrzenia, że Polacy nie są tam pewni życia. Sceny brutalnego napadu, którego ofiarą w Cieszynie padła ludność polska, świadczą już nie o jakimś niedbalstwie władz bezpieczeństwa publicznego w tem mieście, lecz o rozmyślnej, systematycznej akcji zarządu miasta i władzy politycznej, skierowanej przeciw ludności polskiej.

W niedzielę dn. 28 Czerwca odbyło się o godz. 11-jej rano w kościele farnym poświęcenie sztandaru polskiej młodzieży rękodzielniczej przy udziale delegatów towarzysystów rękodzielniczych z całego Śląska i Kółka Koniuszowego z Krakowa. Po tej uroczystości zebrał się uczestnicy w polskim Domu Narodowym, gdzie oczekiwali już ich przybycia liczni zaproszeni goście z Krakowa (członkowie „Zjednoczenia“) i z Królestwa. Tutaj też odbył się wspólny obiad.

Po południu, według programu miał się odbyć festyn na Grabinach. To też po obiedzie zebrał się uczestnicy uroczystości przed lokalem „Związku Robotniczego“, skąd przy dźwiękach muzyki ruszył długi pochód. Na czele jechał przewodnik pochodu na koniu, za nim postępował chorągiew ze świeżo poświęconym sztandarem rękodzielniczym. Za ledwie pochód wszedł w wąską uliczkę, przy której znajduje się dom niemiecki, przy której odezwały się głośnie, ironiczne okrzyki „Heil“, w odpowiedzi na śpiewaną w pochodzie pieśń „Jeszcze Polska nie zginie!“.

Było to około godz. 3 po południu. Cała ulica wypełniona była tłumami Niemców, przez które pochód musiał torować sobie drogę. Polacy znaleźli się w zasadce. W chwili, gdy pochód podszedł pod jedną kamienicę padła z I, czy też II piętra bomba, zdaje się, rzucona przez jedną z kobiet niemieckich. Bomba upadła między konnym przewodnikiem a chorągiew. Koń spłoszył się, a chorągiew, ugodzony odłamkiem bomby w rękę, upuścił sztandar, który nieś musiał kto inny. W tej chwili posypał się na pochód polski ze wszystkich stron grad kamieni, zginiłych jaj, petard z palniami i cuchnącymi materiałami. Niemki pluły na Polaków.

Wszczęł się zamęt i piekielny hałas. Policja przypatrywała się obojętnie i zupełnie bezczynnie. Pomimo tej brutalnej i podstępnej napaści, uczestnicy pochodu przebili się naprzód i szli dalej z brawurą ku t. zw. Saskiej Kępie. Tutaj znowu zaszedł pochodowi drogę tłum wyrostków niemieckich, złożony może z 200 osób, śpiewając „Wacht am Rhein“. Tłum ten starał się powstrzymać pochód, lecz ostatecznie pierchnął, widząc zdecydowaną postawę jego uczestników. Dopiero znalazłszy się w pewnej odległości, zaczęli Niemcy obrzucać pochód kamieniami. Wtedy to padł ugodzony ciężkim kamieniem, sekretarz Macierzy, p. Marcinek.

Pochód podążył naprzód i dotarł wreszcie do Grabin, gdzie miał odbyć się festyn. Tutaj dopiero zlanio sobie sprawę z tego, co zaszło. Ubrania na mężczyznach i kobietach były zniszczone cieżą z bomb i jajami, wielu z uczestników odniosło ciężkie obrażenia cielesne.

Z festynu podążyli uczestnicy do miasta już nie razem lecz grupami. Okazało się to zgubnym, gdyż ułatwiono Niemcom nowe napaady.

Ofiarą brutalnego napadu padł nauczyciel gimnazjum polskiego, p. Andrzej Jawień. Na rynku obkoczyła go gromada napastników, z których jeden uderzył go kijem. Prof. Jawień wezwał wtedy obok stojącego policjanta aby aresztował napastnika. Policjant jednak z uśmiechem odwrócił się i polecenia nie spełnił. Ośmielona tym zgryzą zbrojów niemieckich obkoczyła prof. Jawienia i zaczęła go atakować. Prof. Jawień bronil się dłuższy czas ciopagą którą zadawał bolesne ciosy przeciwnikom. To ich pobudzało do wściekłości. Zdołali oni wreszcie prof. Jawieniowi wyrwać ciopagę i obalwili go na ziemię, byliby go niechybnie zamordowali, gdyby nadchodzący Polacy nie byli ich spłoszyli. Prof. Jawień odniósł ciężkie rany na głowie, piersiach i szyi. Oblanego krwią, odprowadzono rannego do domu. Działo się to około godz. 10 wieczorem na rynku cieszyńskim.

Utarzki na mieście trwały prawie do północy.

Ogółem ranili zbroje niemieccy około 30 osób. Władze były zupełnie bezczynne.

W poniedziałek Niemcy rzucili do gmachu gimnazjum polskiego petardę, która wybuchła z ogromnym hukiem i napęliła cały dom niemożliwą do zniesienia wonią.

Wśród ludności polskiej panuje ogromne wzburzenie. Oczekiwane są dalsze krwawe zajścia.

REPUBLIKA W SOCZI.

W czasie ruchu wolnościowego w Rosji wybrzeże morza Czarnego było widowiskiem zwykłych wypadków. Odnaczał się niemi zwłaszcza okrąg Soczi. Soczi, położone nad brzegiem morza u podnóża gór Kaukaskich —

to rosyjska Riviera! Wspaniały klimat, bujna, pyszna, podzwrotnikowa roślinność, gaje różane, palmy, banany, laury, cyprysy, drzewa figowe i migdałowe, nie mówiąc o dziko rosnących bez liku goździkach, irysach, lewkonjach i jasmie, czynią z Soczi zaczerowiną zakątek. O dziesięć wiorst od Soczi w Adler, położonym nad rzeczką Macestą, znajdują się źródła siarczane, wszystko to razem sprowadza tu rok rocznie na wywczas dziesiątki tysięcy osób z Rosji, pomimo braku komunikacji kolejowej i nawet wodnej, bo wyładowanie w Soczi, z powodu braku portu przedstawia wielkie trudności.

Ten to piękny zakątek Kaukazu po ogłoszeniu manifestu 30 października ogłosił się republiką. Sprawa republiki w Soczi niedawno była przedmiotem rospraw Kaukaskiego wojennego sądu okręgowego. Pomimo iż główni sprawcy ruchu zdołali się uchronić przed odpowiedzialnością sądową, na ławie oskarżonych zasiadło 109 osób i około 700 świadków. Sprawę sądzono przy drzwiach zamkniętych. Najciekawsze przeto szczegóły sprawy pozostały okryte tajemnicą, mimo to wszakże i te, o których wiemy na mocy aktu oskarżenia, rzucają ciekawe światło na przebieg ruchu rewolucyjnego w „republice Soczi“.

Już w końcu 1905 r. — mówi akt oskarżenia — ruch rewolucyjny w Soczi i okręgu Soczińskim organizować się zaczął zupełnie otwarcie.

Na bezustannych wiecach i untyngach prowodyrowie partji skrajnych zaczęli wzywać ludność do obalenia istniejącego w Rosji ustroju społecznego i założenia republiki demokratycznej.

Aby lud mógł pochwycić władzę w swe ręce dyskredytowano w oczach ludności: władze legalne, sądy koronne i państwowe instytucje finansowe. W tym celu agitatorzy ustnie i za pomocą broszur nielegalnych i odezw odmawiali ludności od płacenia podatków, pełnienia służby wojskowej, od zwracania się do sądów koronnych, namawiali do odbierania oszczędności z kas państwowych.

Jednocześnie zaprowadzono sądy narodowe z wyboru na mocy powszechnego, równego, bezpośredniego i tajnego głosowania. Sądy te cieszyły się sympatją ludności. Taki sąd narodowy np. sądził policjanta Szinkurewa za podszezwanie do pogromów i skazał go na banicję.

Za pozwoleniem władz utworzono „ochronę nocną“, była to milicja narodowa.

Dn. 8 grudnia 1905 r. zgodnie z postanowieniem sejmiku narodowego przystąpiono do robót przygotowawczych około zamiany dawnego zarządu miejskiego na nowy, wybrany przez powszechne, równe, bezpośrednie i tajne głosowanie, bez różnicy płci, narodowości i religii.

Specjalna komisja zajęła się jednodniowym spisem ludności.

Wszystko to odbywało się w oczach władz legalnych — naczelnika okręgu, Rozaljon-Szołzkiego, który pod swymi rozkazami miał 23 żołnierzy i 70 strażników.

W początku stycznia 1906 r. wybuchło jawne powstanie, przygotowywane od Listopada.

Prowodyrowie ruchu otrzymali od jednego z książąt Abchaskich paręset karabinów szwajcarskich z bagnietami, sformowali w Gagrach i Adlerze (10 wiorst wodą od Soczi) oddziały powstańcze i przyprowadzili je do Soczi.

Dnia 10 stycznia, gdy strażnicy usiłowali pochwycić kilkunastu powstańców, stoczono pierwszą potyczkę. Strażnicy, straciwszy 1 zabitego i 8 rannych z naczelnikiem okręgu i 2 oficerami na czele, wykonali odwrót do obozu Chersonskiego pułku. Powstańcy rozpoczęli formalne oblężenie, zbudowawszy w okół okopy, rowy i t. p.

10-ty i 11-y styczeń przeszły na potyczkach pomiędzy oblężonymi i oblegającymi. 12 stycznia powstańcy rozpoczęli bombardowanie obozu ze starej armaty, pamiętającej czasy zdobycia Kaukazu. 13 Stycznia naczelnik okręgu z całym garnizonem poddał się powstańcom.

Żołnierze zostali natychmiast wypuszczeni na wolność; naczelnik okręgu i kapitan Gierasimow również; strażnicy zaś, dowodzący nimi koronet Popow i komisarz Zalewskij więzieni do niewoli, mieli być oni deportowani.

14 Stycznia 1906 r. do wybrzeża Soczi przybił kontr-torpедowiec, przybyło i wojsko.

Wobec tego, widząc niemożność dalszej walki, powstańcy weszli w układy z wojskiem i spełnili wszystkie żądania władzy legalnej.

Tak zakończyło się zbrojne powstanie w „republice Soczi“.

ZŁOTE LISTKI.

Kto o lada fraszkę dąsa się i gniewa, Śmiesznym się staje, przyjaćiel nie miewa.

*

Kiedy bliźni od ciebie w czym pomocy szuka, Spiesz z pomocą; to obowiązek uczciwego człowieka.

W tobie zaś niech się taka siła i hart zbudzi, Abyś najmniejszej pomocy wymagał od ludzi.

*

Obzęd weselny, zbiór pieśni i przemówien weselnych w sprawie nieoprawny	1.200
Upominek dla matek i gospodyń, zbiór przepisów gospońarskich w sprawie	1.000
Bajdy i baśnie	400
Zabawy gry i zagadki w sprawie nieoprawne	700
Pieśniarz, nowy zbiór piosenek nieoprawne	500
Pieśni narodowe	200
Dumy i pieśni	500
Przepsy zachowania się towarzyskiego	600
Przygody chłopców w Sjamie, w op.	2.500
W kraju tajemniczym, w op.	2.200
W pustyniach Australji w op.	3.200
Wędrowna wyspaw op.	2.300
Wędrowka po Europie z ob. w sprawie	1.000
Z dalekich wchocy nieoprawne	1.300
Pan Kaprowy w sprawie	100
Pekny Bill zajmująca powieść w sprawie	600
Przygody Tomka w sprawie	170
Dzieln chłopcy w sprawie	70
Podróż do środka ziemi, nadzwyczaj zajmująca powieść przygód śmiałych badaczy środka ziemi, z obrazkami w sprawie nieoprawne	1.200